Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. *Niedziela, dnia 3 lipca 1938 r.* Nr. 27



Motyw do powyższego obrazka został zaczerpnięty z bogatej skarbnicy polskich wierzeń ludowych. Historia krótka i powszechnie znana: w upalne dni lata, w samo południe, ukazuje się wypoczywającym w polu rolnikom — „Południca". Wyłania się ona nagle zza szerokich łanów zbóż, krasna i urodziwa, w barwnym wianku na płowych splotach i niesie z sobą żar słonecznych promieni, jasność wielką i gorąc taki, że chylą się od tego znużone głowy i zamykają ciężko powieki...

MAX DU VEUZIT

17)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO
IRENY MACIEJEWSKIEJ

(Dokończenie.)

Podczas tej wymiany zdań, Blanka wyszła, sądząc zapewne, iż lepiej pozostawić nas samych w czasie tego upragnionego wyjaśnienia.

Jan Salvin, ująwszy mnie za ręce, usiadł u mych kolan na poduszce przed fotelem.

— Sabinko najdroższa, czy może pani na jakiś czas jeszcze obdarzyć mnie swym chwilowym zaufaniem, czy też żąda pani natychmiast wszystkich wyjaśnień, do których ma pani pełne prawo?

— Jeżeli te wyjaśnienia sprawiają panu trudność...

— Nie, przerwał mi. Nic nie może mi być trudnym dla pani, ale jestem zakochanym, który nie wierzy w swoje szczęście i chciałbym, aby pani miała na tyle zaufania do mnie, by móc mi powiedzieć: „Widziałam Różę w twoich ramionach, ale mówisz, iż nie powinnam się temu dziwić, ani nic podejrzewać, więc wierzę ci; ufam, choć nie rozumiem, bo mam zaufanie do ciebie"... Sabino, gdyby pani mi to powiedziała, nie ma pani pojęcia, jak byłbym szczęśliwy!

— Ufam panu, rzekłam cichym głosem, ale powinien pan pamiętać o tym, iż od dziesięciu dni wątpię i płaczę. Chciałabym powiedzieć to, o co mnie pan prosi, lecz czy zdaje sobie pan sprawę z tego, iż mimo mej woli, mam w duszy ranę, i, że, gdy pana nie będzie przy mnie, nadaremnie będę się chciała pozbyć tej prześladującej mnie myśli.

— Nawet gdybym pani powiedział, iż tego ranka, gdy pani widziała Różę w ramionach, rzuciła mi się ona na szyję, by mi podziękować za ułatwienie jej małżeństwa z pewnym urzędnikiem banku w Paryżu, którego rodzina nie chciała słyszeć o Róży?



Kapitanowie drużyn Węgier i Szwecji witają się przed rozpoczęciem meczu w ramach rozgrywek o mistrzostwo świata

— I to pan?...

— Dając jej mały posag, usunąłem wszystkie przeszkody.

Nie mogłam wyjść ze zdumienia.

— Więc ona wychodzi za mąż, wybąkałam zaskoczona.

— Na początku zimy... Tego dnia obiecałem nawet Róży, z myślą o pani, iż moja żona będzie miała przyjemność ofiarować jej ślubną suknię. Czy źle zrobiłem, Sabino, składając to przyrzeczenie w pani imieniu?

Zarumieniłam się i nie wiedząc co odpowiedzieć, ukryłam twarz na jego piersi. Przycisnął mnie tkliwie do siebie, zanurzając usta w mych włosach.

Po chwili podniosłam głowę i spojrzałam nieśmiało na niego, on zaś zapytał:

— Czy teraz nie odmawia mi pani już swego zaufania?

— Wierzę panu! Wierzę panu, powtarzałam.

— Czy zgadza się pani na to, by Blanka po czterdziestu ośmiu godzinach dopiero pojechała do babki, aby poprosić ją w mym imieniu o rękę pani?

— Będę czekała na pana tak długo, jak pan zechce, obiecałam z rozpromienionymi szczęściem oczami.

— Dwa dni to dosyć, odpowiedział poważnie. Chciałbym, aby jak najprędzej była pani wobec wszystkich moją.

* * *

Jan Salvin pozostał z Blanką, która nie chciała go puścić pod pretekstem uporządkowania dokumentów, potrzebnych do rychłego ogłoszenia naszych zapowiedzi.

Odesłała mnie samochodem swego męża, prowadzonym przez jej szofera, do którego miała pewne zaufanie, był on bowiem przyzwyczajony do kierowania tym wozem.

Jan, zmartwiony, iż odjeżdżam bez niego, odprowadził mnie kawałek drogi i po licznych napomnieniach, danych szoferowi, żegnał się ze mną, mówiąc: „Do widzenia pojutrze".

Pomimo wszystkich moich tłumaczeń, babka nie przestawała zrzędzić. Zasiadła do swego wieczornego posiłku z półgodzinnym opóźnieniem z mego powodu; to jej na pewno zepsuje żołądek i będzie znowu źle spała tej nocy!

Nie powiedziała mi jednak tego, a czego dowiedziałam się w kuchni, iż matka Piotra Desormiers odwiedziła ją w czasie mej nieobecności.

Nie wiem, czy babka źle spała tej nocy, jak to zapowiedziała, wiem tylko, iż ja nie mogłam długo zasnąć i przez całą noc miałam szalone sny.

Nazajutrz w południe, zasiadałyśmy właśnie do śniadania, gdy Klaudyna oznajmiła nagle babce, że cała okolica jest poruszona z powodu ukazania się widma.

— Widmo! Zwariowałaś moja droga starowinko!

— Ależ nie, proszę pani. Wiem dobrze, że nie chodzi o ducha, ale to prawie to samo. Od tylu lat porównywano tego pana z umarłym, a tymczasem on składa teraz wizyty księdzu i merowi. Ci, co go widzieli mówią, że jest zawsze pięknym i silnym chłopcem.

— Ależ w końcu, moja droga, o kim ty mówisz?

— O panu z Belle Vue! O Januszu de Saumarte!

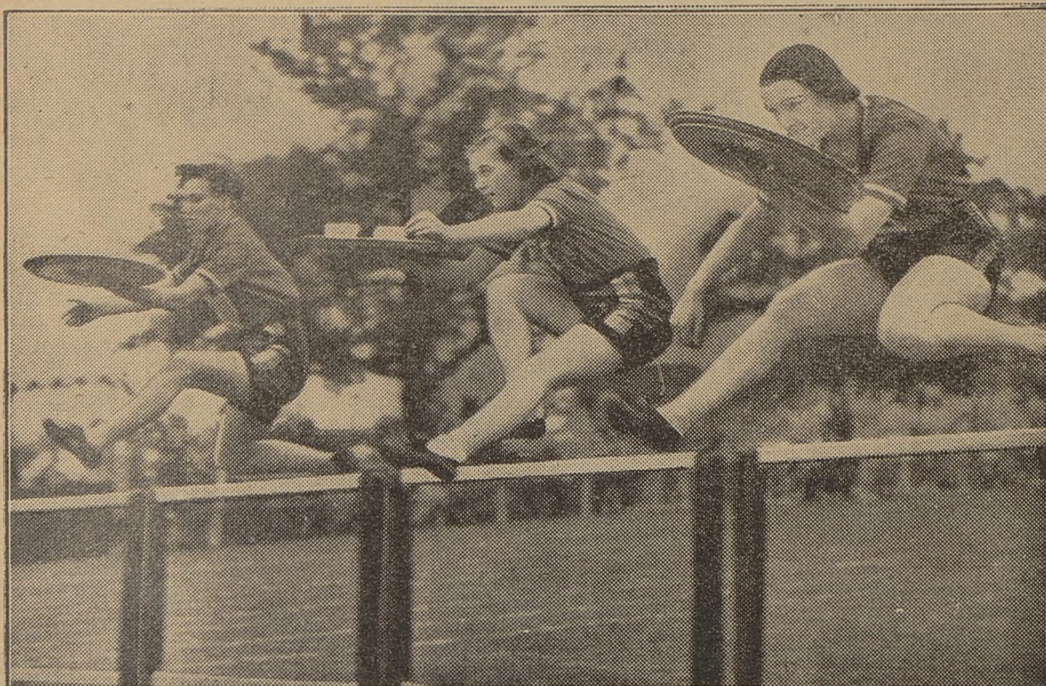
— Widziałaś go?

— Nie, ja go niestety nie widziałam, choć spacerował często po wsi; ale żona nauczyciela rozmawiała z nim, a także Jusserand, listonosz. A kucharka od nauczycielstwa mówiła dziś rano u rzeźnika, że jej pani jest zachwycona rozmową z panem de Saumarte. Co do listonosza, to miał on jeszcze całą paczkę listów dla tego pana.

Słysząc imię Jana de Saumarte, drgnęłam, gdy jednak stara służąca zaczęła opowiadać te wszystkie szczegóły o bracie Blanki, nie mogłam się powstrzymać od wybuchu śmiechu.

— Dobra nowina! Jak to wyobraźnia ludzka prędko widzi widma.

— Wyobraźnia, wyobraźnia! Dlaczego to nie ma być prawdą. Jusserand nie miałby powodu do opowiadania bajek. Jeżeli widział pana z Belle Vue, to ten po prostu na pewno istnieje.



W Londynie urządzono oryginalny bieg przez płotki, w którym brały udział kelnerki, biegnąc z zastawionymi tacami.

Miałam zamiar znowu roześmiać się w najlepsze, gdy nagle uwaga babki kazała mi się zastanowić.

— Zanim będziesz zaprzeczać temu, co mówi Klaudyna, wytłumacz nam dlaczego Blanka nie zaprowadziła cię wczoraj do swego brata?

— Byłam z nią tak krótko, że nie starczyło nam czasu na to, by udać się do domu zdrowia, gdzie przebywa jej brat; nie widziałam się nawet z jej mężem.

— A cóż opowiadała o automacie?

— Że jest on nadal w tym samym stanie... a raczej to pan Salvin mówił mi o tym, a Blanka, która była przy tym obecna, nie zaprzeczała.

— Nie widzę w końcu nic nieprawdopodobnego w tym co ludzie mówią.

— Przepraszam, to niemożliwe. Byłoby to bardzo dziwne, gdyby Janusz de Saumarte był na tyle zdrów, by składać wizyty we wsi, a siostra jego o niczym nie wiedziała! To zupełnie niemożliwe.

— Oczywiście to przypuszczenie jest śmieszne! Bardziej zbliżone do prawdy jest to, że Blanka nic nie powiedziała, by zrobić ci niespodziankę może?

— Ale gdzieżtam! Wie ona bardzo dobrze, iż najmniejsze polepszenie w stanie zdrowia jej brata, zrobiłoby mi wielką przyjemność. Jestem pewna...

Nagle spojrzenie moje padło na mą lewą rękę, na której błyszczał pierścionek. To on nalegał na to, bym przyjęła oficjalny tytuł narzeczonej Janusza de Saumarte... to on, trzymał mnie w objęciach poprzedniego dnia!... on dał mi pierwszy pocałunek miłosny!

Podniecona nadzieją i obawą równocześnie, zawołałam:

— Janusz de Saumarte żyje, ponieważ jestem jego narzeczoną... Zobacz babciu... noszę pierścionek jego matki!

słowo, ja tylko mam rozum w głowie w tym domu!

— Powtórzyłam tylko to, co ludzie opowiadają we wsi, tłumaczyła się stara służąca. Co do panny Sabiny, to jest w tym jakaś niewyraźna sprawa, jeśli pozwolę sobie tak powiedzieć. Nie wie nawet czy pan de Saumarte powrócił do zdrowia, a mówi, że jest jego narzeczoną. Nawet pani Blanka nic o tym nie wie. Wszystko to jest niejasne i moja pani dobrze by zro-

W tym momencie nowa postać zjawiła się na scenie. Piotr Desormiers wszedł do pokoju.

Skłoniwszy się głęboko przed babcią, nagle uspokojoną, zwrócił się do mnie:

— Przyszedłem po to, by usłyszeć od pani potwierdzenie obiegających okolicę pogłosek.

— Słucham pana, odrzekłam wyniośle człowiekowi, którego nienawidziłam.

— Mówią, iż pan de Saumarte odzyskał zdrowie i że powróci do Belle Vue!

W następnym numerze rozpoczynamy druk trzech nowych powieści!!!

— Ty! ty?... A to mi nowina! I mówisz... zaprzeczasz... Ach, a ja nic o tym nie wiem!

Babka wyglądała jakby się dusiła. Co do mnie, upadłam oszołomiona na krzesło, gdyż promiennemu obrazowi Jana Salvin, przyjmującego nazwisko i osobowość Janusza de Saumarte, by mnie poślubić, przeciwstawiał się inny obraz. Obraz Janusza, uzdrowionego w tajemnicy przez męża Blanki i powracającego w te okolice, krążącego dookoła Presec, by mnie zobaczyć.

— Blanka nie wie. Jan Salvin nie wie. Nikt się tego nie spodziewa nawet!

Miałam tak zmienioną twarz, że babka się przeraziła:

— Ona traci przytomność, mój Boże! Klaudyno, panienka się źle czuje!

Podniosła gwałtownie ręce ku niebu, wołając ze złością.

— Kto to widział doprowadzać się do takiego stanu! I dlaczego, o Boże! Opowiada jakieś historie, które nie mają najmniejszego sensu i wytrącają nas z równowagi! Ta dziewczyna jest zawsze nieznośna, a ty Klaudyno, w twoim wieku opowiadasz podobne niedorzeczności. Dając

biła, upewniając się, gdzie panna Sabina była wczoraj naprawdę.

Całe to przemówienie wróciło mi pewność siebie. Oczywiście, moje słowa bez związku mogłyby zaniepokoić każdego. W każdym razie stara służąca pozwalała sobie zbyt wiele.

Ogarnięta wściekłością, zwróciłam się ku niej.

— Masz złośliwy język, Klaudyno! Kiedy się nie zna prawdy, nie należy posądzać innych o kłamstwo! Powiedziałam, iż ten pierścionek należy do Saumarte'ów i to jest prawda. Jak również, że moje zaręczyny z Januszem de Saumarte są niezaprzeczalnym faktem, o ile on wyzdrowieje... że od roku jestem właścicielką Belle Vue, czego wam nie powiedziałam dotąd. Jak również i to, że Blanka wczoraj...

I znowu zatrzymałam się pełna wahania.

— No i co dalej, wczoraj? powiedziała babka surowo. Przypuszczam, iż wczoraj nie byłaś tak szalona, jak dziś. Od godziny opowiadasz brednie, Sabino; zadaję sobie pytanie, czy nie należałoby zaaplikować ci zimny prysznic.

— W czym ta nowina może interesować pana?

— Janusz był niegdyś moim przyjacielem, byłbym więc uszczęśliwiony, dowiadując się o jego uzdrowieniu.

— Podziwiam pańską troskliwość... Pan de Saumarte, wbrew temu, co pan twierdzi, wyraża się o panu w słowach... bardzo umiarkowanych... Zdaje mi się, iż nie czuje dla pana wiele sympatii.

Zauważyłam, iż zbladł.

— Ach, ten pan jest mściwy... do tego stopnia...

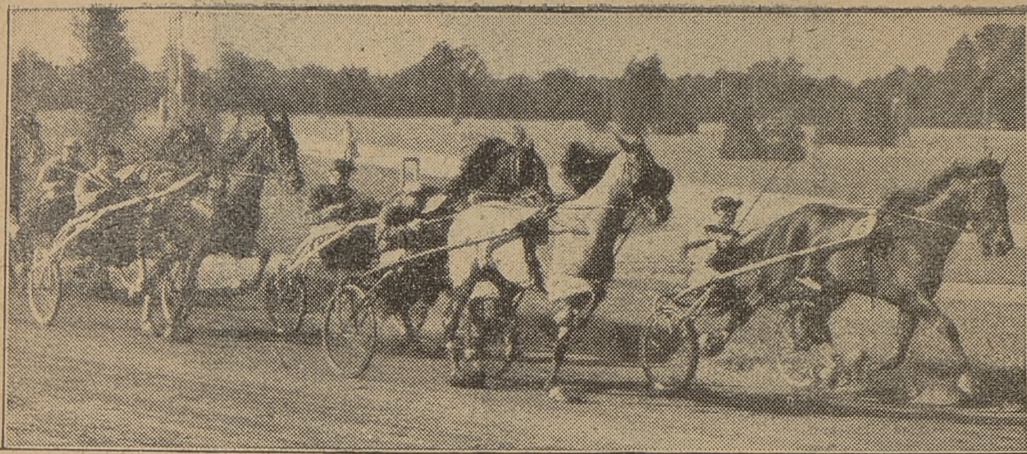
— Jestem narzeczoną Janusza de Saumarte i wiem dobrze o wszystkim.

Cierpienie ściągnęło twarz Piotra Desermiers; po raz pierwszy zrozumiałam, iż żywi on dla mnie pewne uczucie.

Duma nie pozwoliła mu jednak okazać porażki.

— Życzę aby pani była bardzo, bardzo szczęśliwa z tym czarującym automatem... będzie pani miała z nim piękne i zdrowe dzieci.

Może z kolei po mojej twarzy przesunęła się chmura smutku, nie uległam jednak tej słabości.



Oryginalne wyścigi konne, podczas których dżokeje nie siedzą na koniach, tylko na lekich, dwukołowych pojazdach, odbyły się ostatnio w Berlinie

— O tak, odparłam. Będę miała dzielne i uczciwe dzieci... takie jak ich ojciec.

— Chciałabym wreszcie, aby mi to wszystko wytłumaczono, wtrąciła babka. Nic bowiem nie rozumiem! Powiedz mi w końcu Sabino, jak się to wszystko stało, dlaczego czekałaś aż do dzisiejszego dnia, by wołać: „jestem narzeczoną Janusza de Saumarte!"

— Nie mogłam tego ogłaszać dopóki brat Blanki był chory. Mówicie mi dziś, iż powróci do zdrowia, że się widziano z nim... więc też teraz oznajmiam wszem i wobec prawdę! Oto wszystko! To bardzo proste!

Było to rzeczywiście tak proste, że aż musiałam otrzeć pot z czoła po tym wyjaśnieniu; nie ma chyba nic bardziej rozgrzewającego jak konieczność tłumaczenia innym czegoś, czego nie rozumie się samemu.

Piotr Desormiers oddalił się, odprowadzony przez babkę, która nadaremnie usiłowała wydobyć ze mnie dokładniejsze informacje. Klaudyna, mrucząc pod nosem, powróciła do kuchni. Ja zaś przygnębiona niespodziewanymi wydarzeniami, starałam się rozeznać prawdę wśród oblegających mnie zawikłanych myśli.

Jedna rzecz wydawała mi się pewna, aczkolwiek niezrozumiała: Janusz był uleczony. Blanka udawała, że nie wie o tym! A może naprawdę nie wiedziała! Ale Jan Salvin był o wszystkim poinformowany! Czyż nie mówił mi, iż wkłada pierścionek na mój palec w imieniu innego, chociaż wolałbym uczynić to w swoim imieniu!

Więc to było rzeczywiste?... nieodwołalne?... Byłam narzeczoną automata, nic nie mogło rozwiązać tego węzła, który dobrowolnie zadzierzgnęłam!

I to Jan Salvin nalegał, bym zgodziła się na ten związek... Jan, który mówił, iż mnie kocha! Jan, którego ja kocham!

Drżałam cała pod wpływem tych niesamowitych powikłań. Zerwałam się z krzesła i przemierzając pokój nerwowymi krokami, rozważałam dalej:

— Przecież to jest niemożliwe, nieprawdopodobne! Janusz de Saumarte nigdy by się nie zgodził na podobne zobowiązanie! Powiem mu... O tak, powiem mu! Powiem, iż go nie kocham... on to zrozumie. Ależ nie, nie mogę mu tego powiedzieć — był zawsze taki dobry dla mnie i zaledwie wyszedł z ciężkiej choroby. To by go zabiło; byłabym niezdolna przyczynić mu takiego zmartwienia!

Głowa mi pęka od nadmiaru dręczących myśli.

Nagle drzwi się cicho otworzyły i stanął w nich Jan Salvin.

Z ust moich uleciał okrzyk radości. Ach! Bóg go zesłał, on mi wszystko wytłumaczy... musi mi powiedzieć całą prawdę! Rzuciłam się do niego jak do jedynego przyjaciela, zdolnego zrozumieć mnie. Objął mnie tkliwie ramionami.

— Janku! Janusz de Saumarte wyzdrowiał, powrócił: widziano go we wsi!

— Już dowiedziałaś się? zapytał krótko.

— Tak, dziś rano. Przecież to okropne!

— Co jest okropne, moja mała Sabinko? Że Janusz wyzdrowiał, czy też że jeszcze nie przyszedł do ciebie?

Spojrzałam na niego przerażonymi oczami. Jakto, on nie rozumie?!... Oh!... Nie rozumie grozy, która mną wstrząsa.

— Narzeczony! rzekłam ze stłumionym szlochem. Zgodziłam się... a on żyje...

Jan patrzy na mnie przeciągle. Czuję, iż rozumie wreszcie moją mękę, oczy jego bowiem przenikają mnie na wskroś.

— Moja mała Sabinko, szepnął z nabożeństwem, przyciskając usta do mej skroni.

Zamknęłam oczy, upajając się czarem tej chwili. Nagle słyszę jego młody, tryumfalny śmiech.

— Ach, jakąż rozmiłowaną narzeczoną zastaje Janusz de Saumarte w chwili swego powrotu; promieniejącą szczęściem na myśl o jego wyzdrowieniu!

— Janku, proszę, niech pan nie żartuje na ten temat. Sytuacja jest dla mnie okropna, straszna; ale ja jestem uczciwa... będę miała odwagę...

— Poświęcić się, wtrącił.

— Ale cóż robić! Nie ma na to żadnej rady!

— Nie znajduję tego. Niech pani mi tylko powie, że to z mego powodu tak się pani obawia powrotu automatu.

— Przecież pan wie dobrze, odrzekłam zarumieniona.

— Ale muszę usłyszeć, że pani kocha mnie, a nie jego.

— Niestety! Ta prawda nie rozwikła zagmatwanej sytuacji.

— Może! Powiedziała pani: prawda.

— Tak.

— Prawda, że pani jego nie kocha?

— Tak.

— Prawda, że woli pani mnie?

— Och, jak się pan ze mną drażni, każąc mi to wciąż powtarzać.

— Ależ to jest bardzo ważne.

— Dla pana, oczywiście! Ale dla mnie było by lepiej, gdyby było odwrotnie.

Zaczęłam znowu rozpaczać, co mu posłużyło za pretekst do ponownego objęcia mnie i ucałowania.

— Sabinko najdroższa, niech pani tak nie biada. Jestem brzydkim zazdrośnikiem i egoistą. Od dawna powinienem był rozmówić się z panią i powiedzieć, że kocham. Byłem jednak zazdrosny o wspomnienia, zachowane przez panią o automacie. Chciałem być kochany dla samego siebie, a czułem, iż dawny przyjaciel zajmuje najlepsze miejsce w myślach pani. Czekałem więc na swoją chwilę... trwało to dość długo!

— Dość długo! Pokochałam pana od pierwszej chwili naszego spotkania.

— Najdroższa! Nie mogłem o tym wiedzieć, kochające serce jest zawsze pełne zwątpienia. Pani również wątpi we mnie.

Tuląc się do siebie, milczeliśmy przez chwilę.



Kolarze, biorący udział w wielkim wyścigu dokoła Niemiec, przebyli ostatnio najtrudniejszy etap Friedrichshafen — Fryburg



Jak niepyszni musieli wynieść się z granic Francji dezerterzy z hiszpańskiej armii czerwonej, którzy szukali schronienia przed grożącą im klęską na terytorium francuskim.

— Między nami jest już wszystko wyjaśnione, ale on?

Raptem wyswobodziłam się z jego objęcia, mówiąc poważnie:

— Kto, on?

— Janusz de Saumarte.

— Ach tak!

— Nie każe mu pan zniknąć, prawda? I mimo, iż wolę pana, nie chcę sprawić zmartwienia jemu, musi się pan z tym pogodzić.

— Zaczarujemy go, to będzie najprostsze... Sabinko najdroższa, proszę spojrzeć na mnie, proszę dobrze mi się przypatrzyć. Czy jest pani zupełnie pewna, iż nigdy przedtem nie widziała mnie pani?

— Co pan chce przez to powiedzieć? Nie opuszczałam nigdy Presec.

— Tylko wtedy, gdy udawała się pani do Belle Vue?

— Gdzie nigdy nikogo nie spotykałam.

— Oprócz Janusza!

— Cóż z tego?

— A więc!

Patrzyłam na niego badawczo. Co za tajemniczą zagadkę nakazywał mi rozwiązać.

I nagle, jakiś wicher przemknął w mych myślach. Raptowne olśnienie uderzyło we mnie jak piorun. Na wpół przytomna, słabnąc ze wzruszenia, ujrzałam całą prawdę.

— Janusz! Och, to niemożliwe... To pan, Januszu? To pan?

— Czyż jestem aż tak do niepoznania zmieniony, że moja mała Sabinka nie powzięła nigdy najmniejszego podejrzenia?

Niespodzianka była tak wielka, iż zbladłam, nogi się pode mną ugięły, miałam wrażenie, że zemdleję.

Janusz, trzymając mnie wpół, podprowadził do kanapy i usadowił wygodnie.

— Jakiż ja jestem nierozważny, by narażać panią na takie wzruszenie.

— To niespodziewana radość! Takie przeżycie nie zabija, wyszeptałam.

— Na szczęście!

Wracałam powoli do siebie, czując słodkie upojenie.

Janusz, mój najdroższy przyjaciel został mi zwrócony. Czyż mogło mnie spotkać większe szczęście?

— Janusz! mój Janusz powrócił do zdrowia i jest przy mnie!

Słodkie łzy radości, wywołane tą metamorfozą, spływały po mych policzkach.

Obraz prawdziwego Janusza wstępował powoli w moje serce, zajmując miejsce wizerunku Jana, którego kochałam.

Czułam przy sobie jego szlachetne serce, głośno bijące w piersi, przytulonej do mnie; ogarnęły mnie wspomnienia słodkich godzin naszej dawnej przyjaźni i przeżytych wstrząsów rodzącej się, zazdrosnej miłości.

— Obawiałem się, przyznał, iż będzie pani miała do mnie żal za tak długie ukrywanie prawdy.

Zaprotestowałam żywo:

— Dobrze pan zrobił. Pośród przyjaźni, którą miałam dawniej dla pana, a później wdzięczności i uznania, nie umiałabym może odkryć prawdziwej miłości. Pan mnie zmusił do dokładnego zbadania mych uczuć, do bezstronnej miłości, nie ulegającej żadnym pobocznym pobudkom. Och, Januszu, jakaż ja jestem szczęśliwa! Ta chwila jest tak piękna i tak upajająca, iż wynagradza wszystkie przykrości i zmartwienia, przeżyte dotychczas...

— Dla mnie również ta chwila jest błogosławiona. Od miesięcy czekam na nią i ją przyzywam. Z góry napawałem się jej czarem. Ale rzeczywistość przeszła wszystko, co sobie wyobrażałem. Gdy jesteś w mych ramionach, mała Sabinko, wydaje mi się, iż obejmuję swe szczęście; wydaje mi się, iż cały świat nie może pomieścić mej radości. Kocham cię, maleńka, i jesteśmy razem już na zawsze.

Przez dłuższy jeszcze czas siedzieliśmy przytuleni do siebie, mówiąc o doznawanych wrażeniach, zamieniając słowa zawsze dla serca i duszy tak nowe, choć od wieków już szeptane przez miliony zakochanych.

Dowiedziałam się, iż Blanka od dawna już wie o miłości swego brata. Zanim jeszcze Janusz zdecydował się na operację, siostra jego została poinformowana o uczuciach biednego automata i nakłoniona do tego, by zabezpieczyć mi przyszłość.

W ten sposób Belle Vue weszło w moje posiadanie.

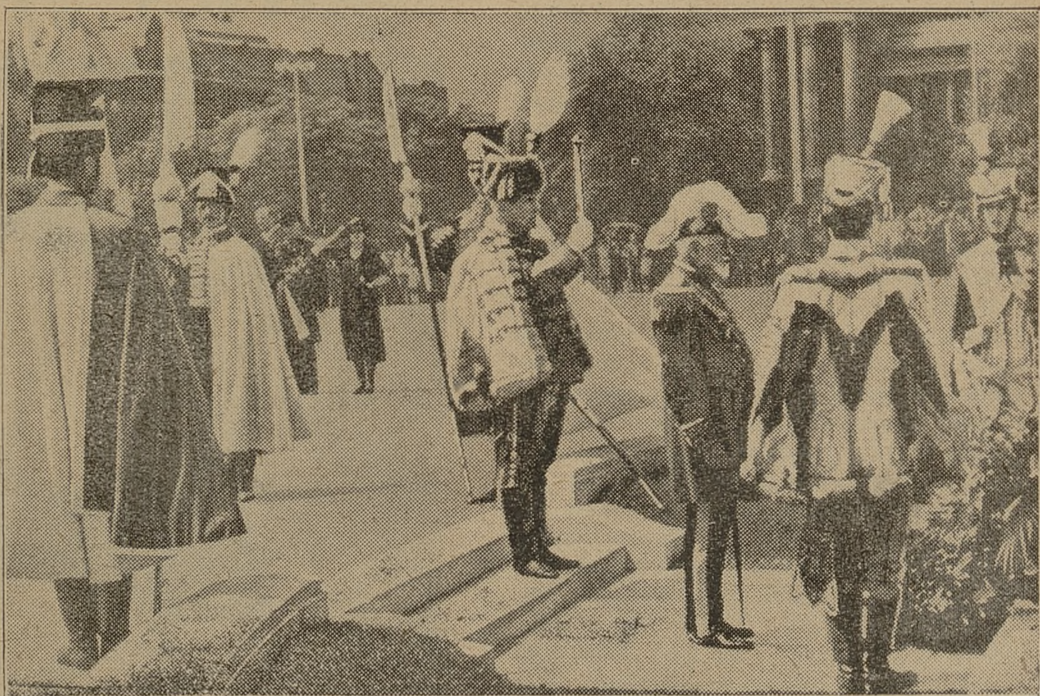
Po czym, gdy operacja się udała, postanowili oboje ukryć przede mną na razie jej prawdziwy wynik: należało pozostawić Januszowi czas na zupełne wyzdrowienie i przyzwyczajenie się do normalnej swobody ruchów.

Gdy wreszcie nastąpił całkowity powrót do zdrowia, Janusz wyruszył w świat pod przybranym nazwiskiem, podając się za kogo innego.

— Wciąż się obawiałem, by mnie pani nie poznała.

— To było niemożliwe, pan się przecież zupełnie zmienił.

— Tak, w porównaniu z tym jak wyglądałem w czasie choroby; jestem jednak nieco podobny do tego, jakim byłem przed wypadkiem i dlatego właśnie wszystkie mo-



W Budapeszcie odbył się ostatnio wielki zjazd Kawalerów Maltańskich, którzy złożyli również wieniec na grobie nieznanego żołnierza

je portrety zostały po operacji zabrane z Belle Vue.

— To prawda, a ja sobie zupełnie inaczej tłumaczyłam to zarządzenie Blanki. Ale w takim razie, Annika poznała pana? Wiedziała kim pan jest, gdy pan powrócił.

— Wiedziała. Jak również Róża. Obydwie zachowały milczenie na moje żądanie. Teraz pani rozumie dlaczego Róża, która jest moją chrzestną córką, była tak swobodna ze mną. Byłem zawsze dla niej bardzo wyrozumiałym i czułym chrzestnym ojcem.

Zawstydzona, ukryłam twarz na jego ramieniu, co stało się okazją do nowego pocałunku.

W tej chwili weszła babka do salonu.

— Janusz de Saumarte! Moje drogie dziecko, jestem bardzo szczęśliwa, widząc pana znowu w tak pięknej postaci. Pójdź w me ramiona, drogi przyjacielu, niech cię uścisnę.

Ku memu wielkiemu zdumieniu, objęła go serdecznym, macierzyńskim ruchem.

— Siostra pana zakomunikowała mi przed chwilą tę dobrą nowinę. Będę miała przyjemność mieć znowu pana za sąsiada i przyjmować jego miłe wizyty w Presec.

Zatrzymała się, rzucając poprzez jego ramię spojrzenie na mnie.

— Jedynie ta mała wariatka zaciemnia mi radość z powrotu pana. Mógłby pan zawrzeć lepsze małżeństwo, wynalazłabym panu jakąś piękną i bogatą dziedziczkę... a oto pan się zakochał w biednej dziewczynie bez posagu! A co gorsze, w córce artysty, jakiegoś głodomora, gdyż, choć matka jej była prawdziwą Presec, ojciec za to, lichy malarczyk, bez grosza i talenta... o nieznanym nazwisku.

— Pozwolę sobie zaprzeczyć, droga pani. Malarstwo nie wzbogaciło rzeczywiście ojca mej narzeczonej, wzbogaciło jednak tych, którzy byli dość przezorni, by zachować jego obrazy. Ale za to nazwisko męża siostrzenicy pani jest naszą narodową chlubą i mam nadzieję, iż moi synowie wskrzeszą je na nowo i otoczą moje nazwisko chwałą sławnego przodka.

— Ach, odrzekła babka rozczarowana i dotknięta. Młodzi ludzie mają teraz dziwne upodobania. Dawniej nazwisko Presec uchodziłoby za świetniejsze od nazwiska jakiegoś pacykarza. W każdym razie, niech się pan zastanowi nad tym, gdyż ta niemądra Sabina nie może niczego spodziewać się ode mnie, jak to pan zapewne przypuszcza.

— Babciu, proszę cię, zawołałam, nie dawaj mi nic. Wychodzę za mąż...

— Ta ta ta! przerwała mi. Nie krzycz tak głośno, bo mi uszy pękają. Uważałam tylko za stosowne uprzedzić mego młodego sąsiada o kłopotach, wynikających z niedorzecznej miłostki. Jeśli on jednak, mimo moich rad, upiera się...

— Niestety, upieram się, droga sąsiadko!

— Bardzo mnie to martwi, moje dziecko, bardzo martwi! Zostanie więc pan moim ciotecznym wnukiem, a nie ukrywam przed panem, iż jak na człowieka o nieprzeciętnym umyśle, robi pan największe głupstwo w swym życiu.

— Wierzę pani, szanowna przyjaciółko, wierzę! Ale cóż, trudno! Odkąd bowiem świat światem, mężczyzna poślubiając wybraną kobietę, musi się z konieczności godzić na jej rodzinę!

KONIEC.

HELENA ŁOTOCKA

Imperium kwiatów

(Dokończenie)

Ten sam wiatr wyrwał z rąk katów prowadzonego na stracenie Cho-Czy i pieczołowicie przeniósł do jego ogrodu. Sprawiedliwości boskiej stało się zadość... I wtedy burza ucichła. Wychynęło ze schowku słońce, a wszystkie piwonie znowu odżyły i były jeszcze piękniejsze.

Przestraszony Najwyższy Sędzia, który skazał Cho-Czy, w pospiechu udał się do niego, aby wybłagać przebaczenie, a potem wydał ostry nakaz, by nikt nie śmiał zrobić krzywdy ani bogobojnemu Cho-Czy, ani jego kwiatom.

I tak żył Cho-Czy spokojnie i szczęśliwie, pielęgnując kwiaty i błogosławiąc boginię, która wyświadczyła mu tyle dobrodziejstw. I dziwna rzecz, czym więcej kochał i pielęgnował kwiaty, tym więcej się odmładzał. Z siwego staruszka pomału zamienił się w pięknego, smukłego młodziana, z czarnymi, połyskującymi włosami, śliczną twarzą i młodym ogniem w oczach.

Bo ten, kto lubi piękno, sam robi się pięknym. Piękno odmładza i uszlachetnia. Wszak umiłowane kwiaty Cho-Czy były wcieleniem piękna na ziemi.

Mijały lata...

Pewnego dnia, gdy Cho-Czy chodził po swym ogrodzie, troskliwie pielęgnując piwonie i szepcząc im w uszka pieszczotliwe słówka, wśród kwiatów zaszemrał subtelny, cudnie woniejący wiaterek, a z góry rozbrzmiał nadziemsko piękny chór.

Cho-Czy podniósł oczy do nieba i z przerażeniem zauważył, że mknie stamtąd do niego cudna zjawa. Przepiękny lazurowy feniks, z dwoma białośnieżnymi bocianami w zaprzęgu. Wiozły one różowy obłoczek, na którym stała jego zbawczyni.

— Cho-Czy, — rozbrzmiał, jak struny melodyjnej harfy jej głos, napełniając go przeczuciem niewysłowionego szczęścia — Cho-Czy, już osiągnąłeś doskonałość. Misja twoja na ziemi skończyła się. Twórca wszechświata za twe bezgraniczne oddanie się kwiatom, chce cię nagrodzić, więc woła w swe „Niebieskie Ogrody". Udaj się za mną.

Cho-Czy wstąpił na różowy obłok i lekko poniósł się w niebo.

A w ślad za nim podniósł się jego dom, drzewa, kwiaty — wszystko, co kochał.

Wtedy z obłoków rozbrzmiał głos Stwórcy:

— Słuchajcie ludzie! Ten, kto kocha i pielęgnuje kwiaty — powiększa swe szczęście na ziemi i osiąga wieczną radość w niebie. A ten kto nie lubi i niszczy je — będzie srogo karany i nieszczęśliwy po wsze czasy.

Ci, co słyszeli, a słyszało całe Niebieskie Imperium, upadli na kolana i zaprzysięgli wieczną miłość kwiatom.

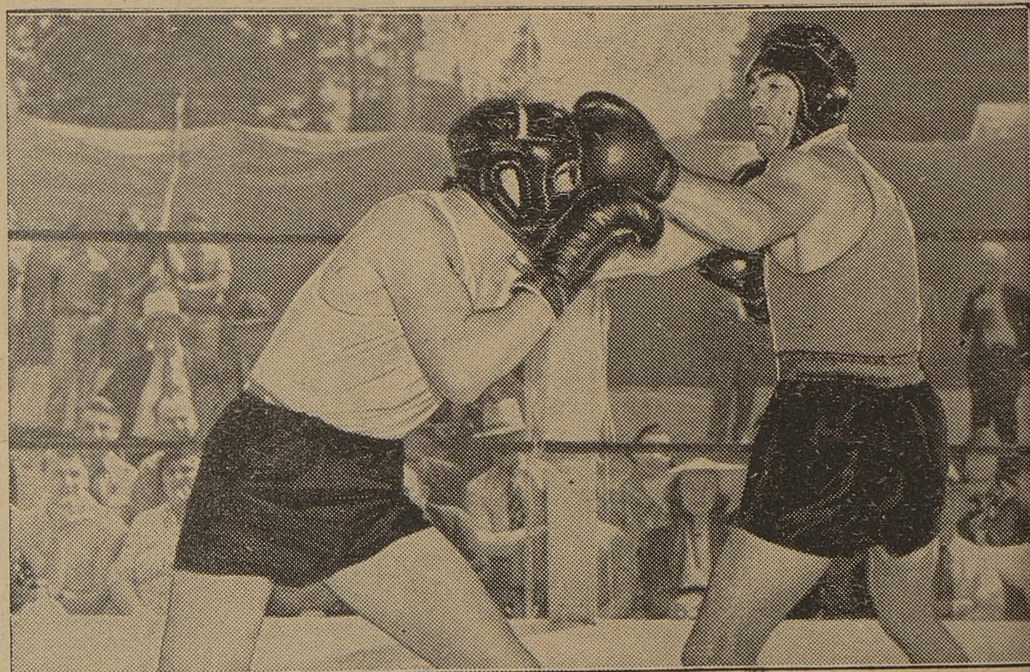
Od tego czasu miejscowość, gdzie zamieszkiwał, bogobojny, kochający nad życie kwiaty Cho-Czy, nazywa się „Błogosławiona", a miejsce, gdzie był jego ogród — Ogrodem stu kwiatów.

Wkrótce całe Imperium porosło kwiatami, a naród Niebieskiego Imperium umiłował ponad wojnę, ponad wszystkie inne zajęcia — pielęgnowanie kwiatów, które wszak są radością dla oczu i pociechą dla duszy... Bo kwiaty są dziećmi bogów — śpią w nich zaczarowane dusze pięknych, słodkich bogiń...

— — — — — — — — —

Jedni na ziemi cieszą się mieczem — są to słudzy diabłów. Drudzy rozkoszują się pielęgnowaniem kwiatów — są to słudzy bogów... Biada niegodziwcom, którzy naśmiewając się z boskich prawideł, depcą kwiaty!... Zerwie się bowiem burza i rzuci ich na śmiecie, by, tam zmarli, jak podły Czang-Ej...

KONIEC.



Bokser niemiecki, Maks Schmeling w czasie treningu przed walką o mistrzostwo świata z Joe Louisem

OSSIAN ELGSTROEM
ŻYWY AMULET
ILUSTROWAŁ M. ROMAŁA

Przeł. HENRYK LINDEMANN

Nie zdarzało się to zbyt często, ażeby Pete poświęcał więcej uwagi żebrakom, zalegającym kolumnadę muzeum w Chicago; jeszcze rzadziej zdarzało mu się wysłuchiwać zgodnego chóru głosów, które bezustannie wołały: „Please a cent, Sir", wyciągając brudne palce w stronę jego osoby.

Pete codziennie mijał to miejsce nędzy i ułomności ludzkiej, lecz dopiero w dniu, w którym rozpoczyna się nasze opowiadanie, zatrzymał się i w zamyśleniu spoglądał na tłum żebraków. Nie stało się to bez przyczyny. Pete właśnie niósł do wydawcy zamówioną przez niego okładkę do książki, a nie był pewien, czy przypadnie ona do gustu zamawiającemu.

Wykonanie nie było złe. W żadnym wypadku. Na okładce widniał żebrak. Typowy hiszpański żebrak; książka zaś nosiła tytuł „Żebrak z Sietas", a Pete przynaglony przez wydawcę groźbą nieotrzymania następnych zamówień ,nie miał po prostu czasu na zapoznanie się z treścią książki. Dopiero dzisiaj rano, gdy już z gotowym rysunkiem wybierał się do wydawcy, spostrzegł, że akcja powieści nie rozgrywa się wcale w Hiszpanii, tylko w dzielnicy emigrantów w Chicago. To właśnie był powód, dla którego zamyślony przyglądał się tłumowi żebraków.

Pete zaklął pod nosem. Dlaczego też nie usiłował przejrzeć treści książki przed wykonaniem zamówienia. A tutaj, przed jego oczyma znajdowała się moc modeli, w dodatku o tak odrażającym wyglądzie.

Pete czuł coś w rodzaju litości. Sam nie wiedząc, co robi, wyciągnął dolara i podał go małemu, grubemu żebrakowi, który wyglądał, jakby był zawinięty w powijaki, gdyż obie nogi miał ucięte wyżej kolan, a pozostałe kikuty owinięte brudnymi szmatami.

— Bierz, stary! — rzekł.

Żebrak spojrzał na niego wyblakłymi oczyma i mruknął:

— Niech Bóg panu stokrotnie zapłaci.

Gdy Pete opuszczał redakcję wydawnictwa Dunlop'a, roześmiał się w głos. Stary Dunlop spojrzał tylko pobieżnie na rysunek i odłożywszy go na bok, poprosił swego sekretarza o jakąś korektę.

Czy Pete chciałby się podjąć ilustrowania — zaliczka 490 dolarów — czasokres cztery tygodnie, dobrze? Pete z radością zgodził się na wszystkie warunki, a gdy potem przechodził obok kolumnady muzeum, krzyknął do beznogiego żebraka:

— Miałeś rację, staruszku, mój datek wrócił mi się stokrotnie. Mam już pieniądze przy sobie.

Żebrak uśmiechnął się tylko powątpiewająco.

Pete pracował jak wół, ażeby zamówienie na czas wykonać. I gdy pewnego dnia, z teką naładowaną rysunkami, wybrał się do Dunlopa, czuł się nieco wyczerpany.

— Czy mam dać temu beznogiemu trzy dolary, myślał, ażeby bez przeszkód wydostać trzy setki od Dunlopa.

Dobry duch Peta kazał mu włożyć rękę do kieszeni, lecz ten gorszy zaraz mu ją wyciągnął.

Naszemu rysownikowi wydłużyło się oblicze, gdy opuścił redakcję Dunlopa. — Trzeba było jeszcze dużo zmienić, a trzy setki dolarów wisiały bardzo wysoko w przestworzach. Przeklinając półgłosem, Pete wrócił do domu, a po kilku dniach wykończył żądane przeróbki.

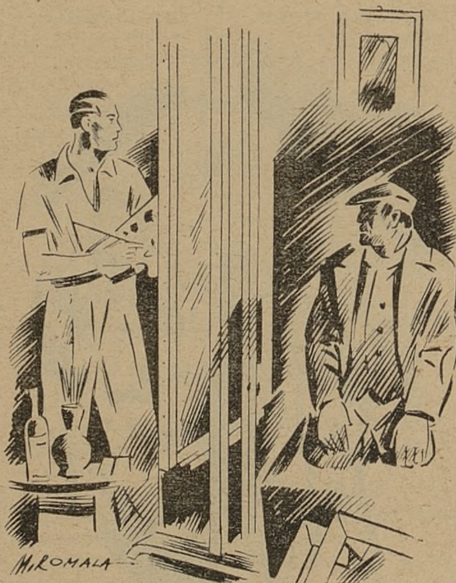
Gdy mijał kolumnadę i ujrzał beznogiego, rzekł do siebie:

— Dam mu cztery dolary. Dunlop musi płacić.

Żebrak nie przywykł do takich wielkich sum, mruknął zmieszany:

— Niech panu Bóg odda stokrotnie! Niech mnie wszyscy diabli...! i pospieszył się z ukryciem banknotu w łachmanach, okrywających jego ciało.

Stary Dunlop był zajęty i sekretarz kazał Petemu poczekać.



Beznogi okazał się idealnym modelem.

— Idioto! szepnął Petemu jakiś głos wewnętrzny, jeżeli Dunlop nie przyjmie rysunków, to jesteś goły, jak święty turecki. — To racja, westchnął Pete. — Dobrego uczynku nie spełnia się nigdy na próżno, szepnął inny głos. I Pete nabrał odwagi.

Dunlop siedział przy biurku, gdy Pete wszedł i z biciem serca podał mu rysunki.

Stary wydawca mruknął tylko:

— Dobrze, i oglądał rysunki, przybliżając je blisko oczu, jak to było jego zwyczajem.

Pete bez żadnych trudności otrzymał trzysta dolarów, a Dunlop dopłacił mu jeszcze sto za przeróbki, biorąc pod uwagę drogocenny czas artysty i dodatkowy trud.

W drodze powrotnej Pete przystanął i prawie z nabożeństwem przypatrywał się żebrakowi, który brał centy, a w zamian dawał — dolary.

— Jestem ciekaw, myślał, czy jeszcze ktoś wie, jakie ty przynosisz szczęście. Zresztą, może to tylko przypadek. Trzeba by to zbadać systematycznie.

I Pete zaczął eksperymentować; monety wszelkiej wartości zmieniały miejsce pobytu z wygodnej kieszeni Petego na zatłuszczony kapelusz żebraka.

Pete nie mógł zaprzeczyć, że rezultat był wręcz zadziwiający. Jeśli dał centa, zarabiał sto centów; dwadzieścia centów zamieniało się na tyleż dolarów. Nawet fałszywe pięć centów meksykańskich powróciło po kilku dniach w postaci również fałszywych pięciu dolarów meksykańskich, które Pete otrzymał przy kupnie gazety w jakimś ciemnym zaułku.

Pete stał się fetyszystą; beznogi żebrak był jego amuletem, w którego skuteczność wierzył niezachwianie.

— Właściwie istnieje pewne ryzyko w pozostawianiu tak drogocennego człowieka na ulicy. O ile jeszcze ktoś inny odgadnie jego własności i zabierze go do siebie, myślał Pete niespokojnie. Dlatego też pewnego dnia stanął jak gromem rażony, gdy nie ujrzał żebraka na jego zwykłym miejscu. Fetysz zniknął.

Przez kilka dni Pete był uosobieniem niepokoju. Wywiadywał się u żebraków, zalegających kolumnadę, jednak nikt nie umiał mu wskazać pobytu beznogiego starca.

Pete zwątpił już w odzyskanie swego amuletu. Lecz pewnego pięknego dnia, fetysz znalazł się na swoim starym miejscu. Pete podbiegł, wcisnął mu do ręki ostatnie pięć dolarów i spytał, czy by mu nie zechciał pozować osiem godzin dziennie. Przecież chyba jest przyzwyczajony, mówił, do spokojnego siedzenia, a ostatecznie lepiej siedzić w ogrzanej pracowni, aniżeli tutaj, pod kolumnadą. Przyrzekł mu poza tym trzy posiłki dziennie.

Beznogi chwilę zastanawiał się i rzekł wreszcie:

— Jeżeli mi pan da pięć dolarów dziennie, dach nad głową i utrzymanie, zgoda.

Właśnie tego udzielenia dachu nad głową Pete życzył sobie w duchu najgoręcej. Miał w ten sposób swój amulet jakby zamknięty w pudełku.

— Może zaraz pójdziemy do mnie, rzekł Pete. Żebrak zgodził się. Lecz teraz okazało się, że beznogi inwalida jednym posunięciem przebywał raptem przestrzeń piętnastu milimetrów. Droga do pracowni trwałaby chyba cały dzień. Pete skinął na taksówkę.

Drugiego dnia rano Pete zaczął rysować. Obraz miał być zatytułowany „Palacze" i przedstawiać grupę okaleczałych żebraków, zatopionych w słodkiej bezczynności i palących tytoń.

Beznogi okazał się idealnym modelem. Przez kilka godzin z rzędu stał spokojnie jak posąg na swych kikutach. I zdarzyła się rzecz ciekawa: model zamęczał artystę — a nie odwrotnie, jak to się dziać zwykło.

Pewnego popołudnia obraz został skończony i Pete zatelefonował do handlarza dzieł sztuki, Nelsona.

Zanim żebrakowi dał setną część w postaci dziesięciu dolarów — Pete szacował swój obraz na tysiąc dolarów — namyślał się, czyby nie wliczyć w to należności za pozowanie. Beznogi dotychczas nie otrzymał ani centa ze swego zarobku. Pete na śmierć o tym zapomniał i teraz dopiero w mgnieniu oka obliczył, że brakuje mu do wypłacenia całej należytości za pozowanie siedemdziesiąt pięć dolarów.

Pete stał bezradny na środku pracowni. Nagle przypomniał sobie, że za wiszący na ścianie obraz meksykańskiego bożka, handlarz obrazów Carrington ofiarowywał mu kilkakrotnie sto dolarów.

Pete zadzwonił do niego.

Po godzinie Nelson i Pete rozprawiali przed obrazem na temat jego wartości. Nelson wcale nie był tak zachwycony, jakby sobie Pete tego życzył.

Dzwonek. Pete otworzył i do pracowni wszedł Carrington.

— Tutaj masz pieniądze. Spieszyłem się w obawie, że znowu będziesz żałował swego obrazu.

Pete nic nie odrzekł. Wyrwał pieniądze z ręki Carringtona i skoczył do komórki, w której odpoczywał żebrak, spokojnie kurząc fajeczkę.

— Proszę, oto siedemdziesiąt pięć dolarów, które jestem wam winien.

Żebrak chciwie chwycił garść banknotów.

— A więc, jak wam się ten obraz podoba? rzekł Pete po powrocie do pracowni.

— Pyszny! co żądasz za niego?

— Ile dajesz?

— Starczy pięć tysięcy? spytał Carrington.

Pete otworzył gębę z zadziwienia.

— Pięć tysięcy!?

— Sześć tysięcy! krzyknął nagle Nelson.

— Siedem, rzekł spokojnie Carrington.

— Siedem tysięcy pięćset, więcej ani grosza nie daję, wrzasnął ze złością Nelson. Twarz zbladła mu z napięcia i irytacji. Obraz zaczął przedstawiać ogromną wartość. Nelson przypomniał sobie, że stary miliarder Vanderveld, po powrocie z Europy, poszukiwał motywów żebraczych.

Carrington spojrzał smutnie na Petego.

— Nie mam odwagi podbić, rzekł, gdyż obraz ten chciałem kupić dla kogoś innego.

— Dla kogo? — spytał Nelson.

— Vanderveld...

Nelson z trudem powstrzymał uśmiech zadowolenia. Spytał Peta z poważną miną, czy wystarczy mu czek, czy też woli pójść z nim zaraz do banku po gotówkę. Obraz odbierze sobie później.

Pete z wrażenia nie mógł słowa wykrztusić. Ostatecznie jednak powiedział sobie: jestem artystą i mój talent posiada pewną wartość.

Gdy po powrocie z banku Pete z głową pełną projektów — Floryda lub Paryż — wszedł do komórki, spostrzegł, że fetysz znikł.

Następnego ranka już o godzinie ósmej Pete był pod kolumnadą. Żebrak, zoczywszy swego ofiarodawcę, ściągnął z głowy zatłuszczony kapelusz.

— Już na nogach, tak wcześnie?!

Pete namyślał się. To, że los jego jest związany z tym żebrakiem, to pewne. Tylko w jaki sposób utrzymać go w rękach.

Pozowanie? To już się nie uda. Zabić go? — Pete aż przestraszył się tej myśli. W ten sposób zupełnie straciłby swój amulet. A zresztą śledztwo itd.

Żebrak uważnie przypatrywał się temu dżentelmenowi, który za nędzne pięć dolarów zmuszał go do spokojnego siedzenia przez osiem godzin dziennie. Gdyby się nie spodziewał, że przynajmniej co godzinę dostanie kieliszek whisky, nigdy by się na to nie był zgodził. A zresztą malarz otrzymał przy jego pomocy siedem tysięcy dolarów. Czegóż on teraz jeszcze chce od niego?

Pete czuł się trochę nieswojo, lecz po chwili przyszła mu pewna myśl.

— Słuchaj stary przyjacielu, rzekł, zarobiłem przez ciebie dużo pieniędzy. Może wypijemy kieliszek whisky?

Twarz żebraka rozjaśniła się.

— Napić się? Owszem... nawet dużo... Już ja przepiję twoje siedem tysięcy, mruknął w końcu.

Późno po południu, skoro Pete i jego przyjaciel siedzieli przy bombce piwa w



Późno po południu Pete i jego fetysz siedzieli przy bombce piwa...

jakiejś najgorszej knajpie, malarz nie mógł się już powstrzymać. Cała jego istota promieniała szczerością.

— Podaruję temu dziadowi siedem tysięcy, myślał... nie... dam tylko sto — albo mam mu powiedzieć o jego przynoszącym szczęście talencie?... nie, jestem głupi... nigdy w życiu.

Nazajutrz Pete obudził się z szalonym bólem głowy. Pierwszą jego czynnością było przeliczenie pieniędzy. Tysiąc, dwa... trzy... cztery... pięć... sześć...: dlaczego nie siedem?... Ale po chwili przypomniał sobie, że wczoraj położył głowę na piersi żebraka i płakał. Potem dał mu tysiąc dolarów. To już wszystko? Czuł, że jeszcze coś zrobił, czego nie może sobie przypomnieć. Zresztą mniejsza z tym i Pete włożył głowę pod kran z zimną wodą.

Żebrak więcej już się nie pokazał pod kolumnadą. Pete był przekonany, że ktoś go widocznie obrabował. Przecież ludzie widzieli, że dawał mu tysiąc dolarów.

Po roku, w październiku Pete spotkał swego beznogiego. Zdarzyło się to na skrzyżowaniu Moroos Street i Michigan Avenue. Na jezdni utworzył się zator z samochodów.

Pete bezmyślnie wyciągnął etui, zapalił papierosa i myślał o tym, jak to dobrze mają ludzie bogaci, że nie potrzebują w deszczu biegać od wydawcy do wydawcy, tylko mogą...

Nagle stanął jak wryty.

Wyciągnąwszy swoje kikuty wygodnie na poduszkach jednego z samochodów, siedział Pete fetysz. Pete patrzał na niego jak urzeczony. Po chwili spotkały się ich wejrzenia. Żebrak od razu poruszył się, otworzył drzwiczki i krzyknął:

— Proszę bardzo, niechże pan wejdzie. Świetnie, że się spotykamy.

Pete wszedł do samochodu. W tej chwili policjant opuścił rękę i pojazd zwolna ruszył z miejsca.

— To się nazywa mieć szczęście, zaśmiał się Pete.

— Racja. Stokrotne dzięki, mister Cummin, za to, że mi pan przed rokiem, tego pamiętnego wieczoru zdradził moje własności.

— Zrobiłem to jednak? — spytał Pete.

— Tak. W tej cuchnącej knajpie, gdy mi pan pożyczał tysiąc dolarów. Bardzo za nie dziękuję. Oto je zwracam, a odsetki może pan sam zaproponuje.

Pete uśmiechnął się gorzko.

— Więc ten banknot przyniósł panu szczęście?!

— Oczywiście. Podarowałem go sam sobie. Zyskałem na tym sto tysięcy. Łatwo można obliczyć, że w przeciągu roku byłem milionerem. Pieniądze ciągle się mnożyły...

Pete westchnął.

— Mój Boże! To jest rzeczywiście do mnie podobne! Rzeczywiście!...



Ekscentryczny kapelusik, w którym pojawiła się pewna Angielka na derby w Ascot

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

NAJLEPSZA DROGA

Kochanej Wandeczce na dzień imienin — Brat.

Pamiętam, kiedy składałem życzenia,
Było tak pięknie wokoło na świecie,
Świat w zieloności tonął i promieniał,
Dziś taki sam dzień będzie także przecie.
Inne życzenia będą milsze może,
Od moich życzeń zwartych w proste słowa,
Ale ja przyjdę, także Ci je złożę —
Ty je w pamięci głęboko zachowasz.
I powiem wtedy: bądź szczęśliwa w życiu,
Złączona trwale z swoim ideałem,
W jedno wierz stale, w to jedno niezbicie,
Najtrwalsza droga w Twoim życiu całym,
Najlepsza — pewna, to jest jedna droga,
Ta, która wiedzie hen, przed tron —
— do Boga.

„Te-Em".

DUŻO UŚMIECHÓW W ŻYCIU!!

„P. B. P. — Radlin". List Pana wysłałam, jak zwykle. Obiecał mi Pan długi list — dlaczego więc nie mam go do tej pory? Proszę już szybko zrehabilitować się w naszych oczach! Życzę Panu powodzenia i dużo uśmiechów w życiu!

WSZYSTKO W PORZĄDKU!

„Marzący Ramon N." Rzeczywiście wszystko jest już w porządku. Adres wpisałam do książki, a listów już otrzymał Pan, o ile pamiętam, kilka.

Pozdrawiam Pana bardzo serdecznie i wyrażam życzenie, abyś wkrótce napisał nam długi, długi list!

„Słodka Dary"! Znamy się, Joleńko — prawda? Wspominam często ostatnie moje wywczasy. Pozdrowienia dla Ciebie!

Całej „Krainie" dużo radosnych uśmiechów i pozdrowienia!"

NAKŁAD WYCZERPANY

„Blanka". Dziękuję Ci, Kochana, za tę pocztówkę, napisaną po powrocie z Poznania.

Niestety! Tomiki poezyj „Jadźki z Kujaw" są już dokładnie wyczerpane w nakładzie i nie będę mogła Ci go dostarczyć!

Dziękuję na tym miejscu za dołączone pozdrowienia od Reni, a Ciebie całuję mocno!

„Mogilnianko"! Napisz do mnie. Bardzo się ucieszę. Mieszkam w Gnieźnie. Na zaczątek ściskam dłoń. Jesteś mi bliską — mam tę samą oznakę!"

CZASAMI TAK BRAK!...

„Słodka Maruszka". Przedrukowuję poniżej Twój liścik w tej myśli, że porwie on ku Tobie serca „Krainiaków".

„Boli mnie to ogólne milczenie moich wszystkich znajomych. Wszyscy, jakby na komendę, zapomnieli o „Słodkiej Maruszce".

A jej tak czasami brak miłego, dobrego słówka, rzuconego choć z oddali. Tak jakoś tęskno i pusto, że głuchy żal wzbiera w sercu, a w oczach gromadzą się łzy i spływają cichutko po licach.

Lecz po tych łzach żal przycicha, wesołość wzbiera na nowo i wybucha kaskadą śmiechu i dobrego humoru, aby potem ni z tąd ni z owąd porwać się znowu i gnębić ciężkim rozgoryczeniem.

Szczęście, że wszystko mija — i zły i dobry humor! Zapomina się o wszystkim w szybkim tempie życia. Zabawy, bale, praca i ruch oszołamiają i przynoszą chwilowe zapomnienie.

Lecz i to minie, a nastanie cichy, smutny czas starości. Takie jest życie!..."

„Maleńka Liany" — za pozdrowienia dziękuję serdecznie. Ściskam Cię i pozdrawiam nieznana Dziewczynko! Życzysz dużo radości — wierz, nie mam specjalnych powodów do niej — ale ktoś Ty, uchyl rąbek tajemnicy.

Dla mej siostrzycy „Wesołej Maruszki" ślę moc pozdrowień!

„Białej Uajali", Józefowi Baranowskiemu i Płóciennikowi uznanie za wierszyki! A może mi kto maleńki utworek poświęci?

„Samotny-Chorzów" — pozdrawiam! A może Pan nawiąże kontakt? Bardzo chętnie podyskutowałabym — czekam.

„Półdiable Weneckie". Czy można do Ciebie napisać. Czy mieszkasz blisko słynnych wykopalisk?

„Myśliwy". Nie wierzę byś nie miał szczęścia do polowania na kobiety — ale wiesz, na zwierzynę trzeba innej broni aniżeli na dziewczyny. A może napiszesz, chętnie odpowiem".

DZIĘKUJĘ!

„Uśmiechnięta Wandulka". Odpowiadam na Twoją pocztówkę. Słodka jesteś, jak zwykle, choć nader się tu streszczasz.

Dziękuję Ci za wszystkie miłe słowa i pozdrawiam serdecznie!

CZEKAM!

„Bajka". Kochanie! List Twój wysłałam. Komunikatu nie zamieszczam, gdyż wycofałaś go późniejszą pocztówką.

Czekam na dłuższy list od Ciebie, a na razie posyłam Ci moc uśmiechów.

W ILUSTR. K. P.

„Wirry". Nowelka Pana pod tyt. „Anonim" dobra — dałam ją do przedrukowania w I. K. P. Numer autorski będzie przesłany.

Pozdrawiam Pana bardzo serdecznie i czekam na list oraz nowe utworki, przeznaczone do oceny.

CO ZROBIĆ?...

„Wesoła Pomorzanka". Co by to zrobić, żeby każdemu, tak naprawdę każdemu było dobrze na świecie?... Oj, Dziecino, zdaje mi się, że to się nigdy nie spełni — zbyt trudny problem i wręcz niewykonalny. Zawsze będą tacy lub inni, którym będzie źle, i to z tej czy innej przyczyny! Gdzie jest życie, tam nieuchronnie jest i ból. I nie ma na to rady! Ale warto siać wokół siebie choć te najdrobniejsze ziarnka zadowolenia, które rozrastać się mogą w całe łany dobra.

I takie ziarenka Ty możesz wszczepiać swemu otoczeniu, Mała, serdeczna Dziewczynko!

Zasyłam Ci uśmiech i przedrukowuję komunikaty:

„Halo! „Wesoła Kokuś". Dziękuję i ściskam łapki. Napiszę.

Dla „Figlarnej Mimi" moc uścisków!

„Blondynie spod Grudziądza"! Przyjm pozdrowienia.

„Samotny Chorzów I" — ślę wesołe pa!

„Młody Marynarzu z Żaglowca", „Rybaku z Helu" — przyjmijcie braterski uścisk dłoni i piszcie! Odpowiedź murowana.

„Czarny Hajduczku", „Dafne", „Wisiu" — moc serdeczności!"

NIE MÓW TAK!

„Orlica". Rzeczywiście, rzeczywiście! Napisz mi czym prędzej, gdzie teraz jesteś i jak Ci się powodzi, bo jestem ogromnie niespokojna o Ciebie!

Nie mów tak! Jestem pewna, że i Pani zajaśnieje jeszcze szczęście jasnym blaskiem i pozostanie już z Tobą na zawsze.

Proszę Cię bardzo, napisz mi o wszystkim jak najszybciej! Czekam!!!

„P. Adela Z. z Zb. — Bardzo dziękuję za miły liścik — nie odpowiedziałam jednak, bo sądzę, że korespondencja nie przyniosłaby nam zadowolenia. Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia i moc uścisków.

— Halo! — „Jesienny Wichrze" — Czy gwiazdor przyniósł życzony motocykl? I ja miałam to samo życzenie, ale — niedobry, nie spełnił go. Może napisze mi Pan, jak to było z tym gwiazdorem, a zrewanżuję się. Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia i uścisk dłoni.

P. Edwardzie F. — Co się stało — dlaczego nie odpowiedział Pan na mój list? Czekałam na aprobatę mojego projektu, pomimo to jednak byłam... czyżby Pan stchórzył? To nie możliwe, by Pan był w R. i nie dał znać o sobie. Gdyby tak było faktycznie, to cała sprawa od początku nie była warta świeczki. Proszę przyjąć pozdrowienia.

„Białej Uajali", „Blance", p. Adamowi Czekalskiemu, „Erosowi" i wszystkim „Krainiakom" serdeczne pozdrowienia".

RÓŻE

Cóż to zakwitło w ogródku,
i każe zapomnieć o smutku?
To krzew skąpany w purpurze,
to pięknie zakwitły róże.
Czerwienią się małe płatki
pod ścianą bielonej chatki,
jak słonka czerwone i duże,
zaklęte tu wiosną w róże.
Ktoś po nie chciał sięgnąć dłonią,
lecz napaść odparły wonią,
stojące władczo w purpurze.
— kto by zerwać śmiał róże?
Cofnęły się wolno ręce,
żeby nie dotknąć róż więcej,
niech kwitną wspaniale i duże
w ogródku małym cud — róże.

Tadeusz Rawicki.

POINFORMUJĘ CIĘ

„Wesoły Banialuczek". Cieszy mnie, że tak bardzo pokochałaś nasz tygodnik, a już szczęśliwa jestem, że znalazłaś wśród nas przyjaciółkę szczerą i dobrą!

„Kropelce leśnej rosy" niedługo odpiszę — słodki dzieciak!

Przypuszczam, że wiesz już do kiedy masz opłacone prenumeraty, jeżeli jednak nie — to napisz, a poinformuję Cię chętnie. Całuję Cię i zamieszczam Twoje komunikaty.

„P. H. J. z R." — Całuję buzię Najukochańszej z Kochanych.

„Kropelka leśnej rosy" — przyjm mocnego całusa!

„Blondyn spod Grudziądza" — serdeczne pozdrowienia. Może napiszesz do mnie? Odpowiedź murowana.

„Wandzi K. — Tuczno" — serdeczne pozdrowienia.

Poza tym ślę moc pozdrowień dla „Szydercy", „Myśliwego", „Malutkiej z Pomorza". Całej „Krainie" braterski uścisk dłoni"!

TO DOBRZE!

„En-Ka". Nie, tego rodzaju rozwiązanie stanowczo nie byłoby dobre, zresztą „Krainiacy" już zadecydowali zjazd do Żnina — pozostaje jeszcze tylko oznaczenie daty zjazdu.

Cieszy mnie, że Panu nie sprawi wielkiej różnicy odległość — zatem mogę liczyć na pewno na udział Pana w zjeździe? To dobrze, to bardzo dobrze!

Posyłam Panu serdeczności!

„Wesoła Maruszko"! Chętnie otrzymałbym liścik od Pani. Gdy przeczytasz ten komunikat, będę już niedaleko morza.

„Banialuko" i „Jagienko"! Ślę Wam pozdrowienia i szczery uścisk dłoni!"

ZLECIŁAM ADMINISTRACJI

„Maryla spod Wągrowca". Mam tu jeden z dawniejszych Twoich listów, Dziecino, i odpowiadam, jak na każdy, chętnie.

Otóż sprawę „Moich Powieści" zleciłam naszej administracji — zapewne już będzie wszystko w porządku.

Cieszy mnie, że serduszko Twoje już znowu jest swobodne i silne! Oby nic już nie przysłoniło Ci chmurą niezadowolenia obecny spokój. Całuję Cię i przechodzę do komunikatów:

„Przedwiośnie". Kocham Cię! Zdajesz mi się być tchnieniem wiosny — napisz mi coś".

„Heńku" — znamy się. Co zrobiłeś z tym baranem, wygranym na kiermaszu dziecięcym w Wągrowcu?

„Samotna Oleńko" — Siostrzyczko! Dlaczego nie piszesz? Zadowolona jesteś z pracy w Jaz... — ja z mojej bardzo".

OBY TYLKO!...

„Ala — Marzycielka". — Bardzo nawet chętnie przyjmę Twoją podobiznę, Dziewczynko! Oby tylko była odpowiednia do „Krainy"!

Całuję Cię i czekam na tę fotografię!

„Pozdrowienie dla „Wieszczki Kwiatów", „Waldego", „Rozśpiewanej Izabelli" i „Szydercy".

„Wesoły Broneczku" — może napiszesz do mnie? Czekam! Przesyłam uśmiechy dla całej „Rodzinki"!

POWIEDZ!...

H. J. — Rozdziały. Dziecino, powiedz mi, czy nie zaniedbujesz teraz trochę swego radia, bo teraz wszak lato i chyba dużo przebywasz na świeżym powietrzu.

Piękna jest ta osóbka na ostatnim zdjęciu — czy mogę ją zamieścić w „Krainie"?

Nie bądź, kochana, zbyt dumna i nieprzystępna, bo to nie daje zadowolenia w życiu.

Za wszystkie serdeczności dziękuję i odwzajemniam je szczerze.

„P. Rusin S". — jesteś kochana i miło mi korespondować z Tobą, tylko ja tak brzydko piszę, wybacz! Całuję Cię!

Całej „Krainie" życzę beztroskich dni!!!"

WRĘCZYŁAM

„Szara Fala". Bezwzględnie masz moją przychylność, Dziewczynko! I nie potrzebujesz o to specjalnie się starać.

Wierszyki Twoje wręczyłam Wujkowi Januszowi do oceny.

Napisz mi, czy masz dużo przyjaciół w „Kraince" i kogo najwięcej kochasz.

Bywaj mi na razie i pisz!

„Dużo serdeczności dla całej „Krainki"!

Panu Płóciennikowi i Baranowskiemu szczere uznanie za śliczne wiersze i pozdrowienia!

Ponadto pozdrowienia dla: „Blanki", „Małej Konwalijki", „Zbłąkanej Gwiazdy" i „Zefira Zachodu". Tego ostatniego proszę o list".

SERDECZNOŚCI!

„Biała Różyczka". Dziękuję za pozdrowienia przesłane „Rodzince" i mnie.

Czy szybko już napiszesz nam długi list? Bardzo czekamy!

A na razie przyjm serdeczności!

MIŁO MI!

„Elem n. Notecią". Miło mi niewymownie, że zadowolony jesteś z przynależenia do „Krainy" i że korespondencja z jej członkami daje Ci dużo zadowolenia.

Za pozdrowienia dla „Rodzinki" dziękuję Ci serdecznie i posyłam Ci mocny uścisk dłoni!

MOC UŚMIECHÓW DLA SMUTNYCH!

„Marusia III". Winszuję Ci, Maleńka, choć dopiero teraz, narzeczonego i życzę pomyślności na bliską i dalszą przyszłość!

Napisz mi proszę, jak Ci się powodzi obecnie i w ogóle dużo o sobie!

„Słodziusieńka Ty moja „Bajko"! Ślę Ci moc buziaków i proszę nie zapomnij o nas — przyjedź w lecie koniecznie! — Wszyscy Cię serdecznie zapraszamy.

„Marku"! Niestety! Pomimo chęci, nie mogę... — Pozdrawiam Pana serdecznie.

P. S. N. — Czy zadowolone jesteście z wzoru? Łączę uściski.

Wszystkim smutnym w „Krainie" ślę moc słonecznych uśmiechów i dużo słów pocieszenia".

ZA OKNEM...

Za oknem w ciepłe popołudnie,
wróble rozmowy wiodą gwarne,
za oknem lato pachnie cudnie
zielenią łąk i ziemią czarną.
Za oknem cichy szept owadów,
bijących rojem w okna chaty,
za oknem wonna cisza sadów,
strojnych w zielonych liści szaty.
Za oknem słońce, niebo jasne,
modrym spojrzeniem roześmiane,
a tu. izdebki ściany ciasne,
pustka — i oczy zapłakane...

„Kole".

Teczka Wujka Janusza

URYWEK WAKACYJNEGO LISTU...

„Przedwiośnie". Skąd znam imię Pani? Otóż był ktoś taki, który mi je zdradził. Chyba nie trudno domyśleć się kto to mógł być?

Powyższe jednak jest mało ważne w porównaniu z pięknym listem Pani, przesłanym z wakacyj. Ileż zachwytu, słodyczy i poezji w nim! Nie mogę oprzeć się pokusie, aby z tymi słowami, pisanymi przy poszumie leśnych drzew i wśród zapachów świeżego siana nie podzielić się z moimi Przyjaciółmi. Chyba nie będzie miała Pani żalu do mnie za tę samowolę?...

„Od kilku dni bawię na wakacjach w uroczej cichej leśniczówce pod Toruniem. Jestem tu zawsze sam na sam z przyrodą, podglądam jej tajemnicę i nie krępuję się żadnymi konwenansami. Jednym słowem korzystam w pełni ze swobody wakacyj. Może młode serce ogarnia całą ziemię i bezmiar nieba. Oderwać nie mogę wzroku od wdzięków wiosny, czarującej świat błękitem nieba, lekkim powiewem wietrzyku i zapachem wonnych, polnych róż. Jak to cudnie, że codziennie mogę widzieć słońce, wschodzące zza leśnych drzew i zaglądające do pokoju przez szczyty smutnych sosen! Codzień jest ono jakieś inne, nowe i czuję, że dusza moja kąpie się w tej powodzi światła słonecznego. Każdego dnia o świcie, wybiegam do lasu i na łąki, gdzie cicho dzwonią białe konwalijki. Przynoszę ich całe naręcze i maję nimi mój pokoik, który wygląda, jak barwne corso kwiatowe. Czasami kładę się na szmaragdowym kobiercu trawy, twarzą zwróconą w niebo i całuję myślami białe chmurki, a w duszy mam ciszę. I jest mi tak dobrze! Żałuję tylko, że nie mam nikogo przy sobie, że nikt nie dzieli ze mną tych wrażeń i zachwytów nad pięknem świata..."

Na zakończenie, aby życzeniom „Przedwiośnia" stało się zadość, przedrukowuję Jego komunikaty, a następnie jeszcze miły wierszyk. Po dokonaniu zaś powyższego — zaczynam cierpliwie oczekiwać na tajemniczą przesyłkę z jeszcze więcej tajemniczej miejscowości, w której zapewne w bieżącej chwili, sympatyczne „Przedwiośnie", już się znajduje? Uśmiecham się w tę stronę!

„Zuch — Dziewczynie", małemu słoneczku, za serdeczną pamięć — całuję słodki, promienny buziak. „Białej Uajali" w podzięce za przecudny wierszyk — ucałowania, zaś dla „Trójki z Łodzi" — mocne uściski. Maleńkiej dobrej Dziewczynce — „Carmen" — ogromnie dużo serdeczności. „Czarny Hajduczku" — co z Tobą? Ściskam Cię. „Bajko" — jesteś mocno kochana. Dziękuję! Napiszę na pewno.

„Smutna i brzydka Irka" — do Ciebie też napiszę i wytłumaczę, lecz czy adres Twój aktualny jeszcze? „Erosa" i „Tartuka" b. miło pozdrawiam. „Heńka" również.

POŻEGNANIE

Pachnący wieczór, pełen szumu drzew,
Cicha słodycz naszego kochania,
Jasny księżyc — upojny ptasząt śpiew —
To był motyw cichego pożegnania.

Ostatnie przysięgi, wyznania bez słów,
Jak kwiatów pocałunki — tkliwe spojrzenia,
(Zdaje mi się, że to dawno, lata minęły już)
Smutne, gdzieś z głębi serca westchnienia.

Ostatnie, rąk zimnych, uściśnienia,
Ukradkowe wytarcie zdradzieckiej łzy,
Cicho wyszeptane słowo: „dowidzenia",
Znów na długo rozstać mieliśmy się.

— — — — — — —

W pachnący wieczór, pełen szumu drzew
Brzmi ostatni akord naszego kochania,
Jasny księżyc — upojny ptasząt śpiew —
To był motyw naszego pożegnania.

„Przedwiośnie".

DO PRZYJACIELA

P. Miecz. Grzegorskiemu pod wpływem Jego wiersza: „Przyjaciele" — Autor.

Sądziłem kiedyś, żem już odtrącony
Od szczęścia życia i było mi smutno,
Ty rozbudziłeś płomień przytłumiony,
Ujrzałem szczęście, jak w kinie na płótnie.

Prawda, że czasem trzeba w drodze paść,
Że twym mieszkaniem będzie zimny grób,
Lecz, bracie, zawsze, co robisz — to rób
Tak, by twą pracę z dala było znać.

Zostaw u ludzi dobre wspomnienie,
Zamknięte w Twoich serdecznych sonetach
I zostaw miejsce — bez zazdrości cienia
Dla tych, co później będą znów na świecie.

Dzisiaj piszemy w „Krainie" swe wiersze,
W nich spowiadamy się z uczuć najszczerszych,
Jutro zostaną po nas wspomnienia,
Które pokryje znów... zapomnienie.

„Te-Em".

ODPOWIEDŹ ZBIOROWA

„Te-Em". Na listy Pana odpowiadam zbiorowo. Na pierwszy ogień pójdą wiersze Pana. Otóż do druku przeznaczyłem następujące: „Najlepsza droga", „Poślę ci bukiet róż", „Do przyjaciela", „Dlaczego?...", „Posyłam wam", „Nad rzeką", „Nastroje", „W podzięce". Szkic — „Pożegnanie" — jest mało ciekawy. Proszę, niech Pan zawsze dobiera oryginalny i trochę absorbujący temat. Czytelnicy bowiem lubią zawsze dowiedzieć się czegoś nowego, a nie uznawają zupełnie tematów banalnych, zbyt powszednich. O tym musi pamiętać każdy dobry autor.

A propos wierszy Pana, wyjaśniam, że „Najlepszej drogi" nie udało mi się zamieścić wcześniej. Mam jednak nadzieję, że Siostrzyczka Pana ucieszy się chociaż ze spóźnionych życzeń. Wierszyk — „Poślę ci bukiet róż..." — ukaże się wkrótce na okładce.

A teraz pozdrawiam Pana i podaję do wiadomości zainteresowanych komunikaty Pana:

„Mogilniance" donoszę, że nareszcie wiem, kim jest. Łatwo zresztą było odgadnąć! Wiem także, kim jest „Samotna Oleńka". A więc moja cierpliwość została nagrodzona! Dowiedziałem się przypadkowo. Dziękuję wszystkim za przesłane pozdrowienia i odwzajemniam je!

„Zbijobrukowi Poznańskiemu" — wesołych wakacyj i przyjemnej zabawy!..."

WIERSZE WYPADŁY NIEŹLE

P. K. J. Warszawa. Jak na pierwsze utwory, wierszy Pana wypadły nieźle. Jedynie, co im mogę zarzucić, to nadmiar sentymentalizmu i banalności tematu. Wierzę jednak, że z czasem bolączki te zniweluje Pan i będzie przesyłał wiersze lepsze, oryginalniejsze. W tej myśli ślę Panu przyjazny uścisk dłoni i dla zachęty do dalszej pracy, zamieszczam niżej jeden z nadesłanych wierszyków.

NASZ KSIĘŻYC

Dzisiaj także jasno świeci
Nasz księżyc na niebie —
Opowiada stare dzieje,
Przypomina ciebie.

Przypomina nasze chwile
Radosne, kochane,
Gdym całował po raz pierwszy
Usta Twe kochane.

I o wielkiej mej miłości,
O wielkim kochaniu,
O tak krótkim szczęściu naszym
I długim rozstaniu.

Dziś w dal patrzę i łzy z oczu
Srebrną smugą płyną —
Za mą jedną, ukochaną,
Daleką dziewczyną....

K. J.

KOMUNIKAT

P. H. K. Poznań. Komunikuję Panu, że wiersz — „Nie płacz...", po uzupełnieniu małych niedociągnięć, zamieszczam, resztę zaś wierszy oddaję smutnemu przeznaczeniu — koszowi redakcyjnemu. Na zakończenie — dużo miłych pozdrowień!

NIE PŁACZ...

Nie płacz! Łez twoich szkoda!
Jutro znów będzie takie radosne!
Jutro znów w sercu mieć będziesz wiosnę,
Wszak jesteś jeszcze tak bardzo młoda...!
Łez twych, dziewczyno, szkoda jest szkoda!

Łez twych, dziewczyno, szkoda,
Bo jutro będzie takie radosne!
Spełnią się wszystkie sny twe miłosne —
Boś jeszcze młoda, tak bardzo młoda...!

Henry Korn.

GODZINA ZMROKU

Szarego zmroku wieczorna godzina,
gdy senne nieco ślizgają się cienie,
marzenia moje nową falą płyną,
do duszy nowe spływa upojenie.

Tak lubię myśleć, że wraz z Tobą idę,
żeś jest mi bliskim, że kochać cię mogę,
i pragnę znowu tej szczęścia godziny,
co mi wskazała nową marzeń drogę.

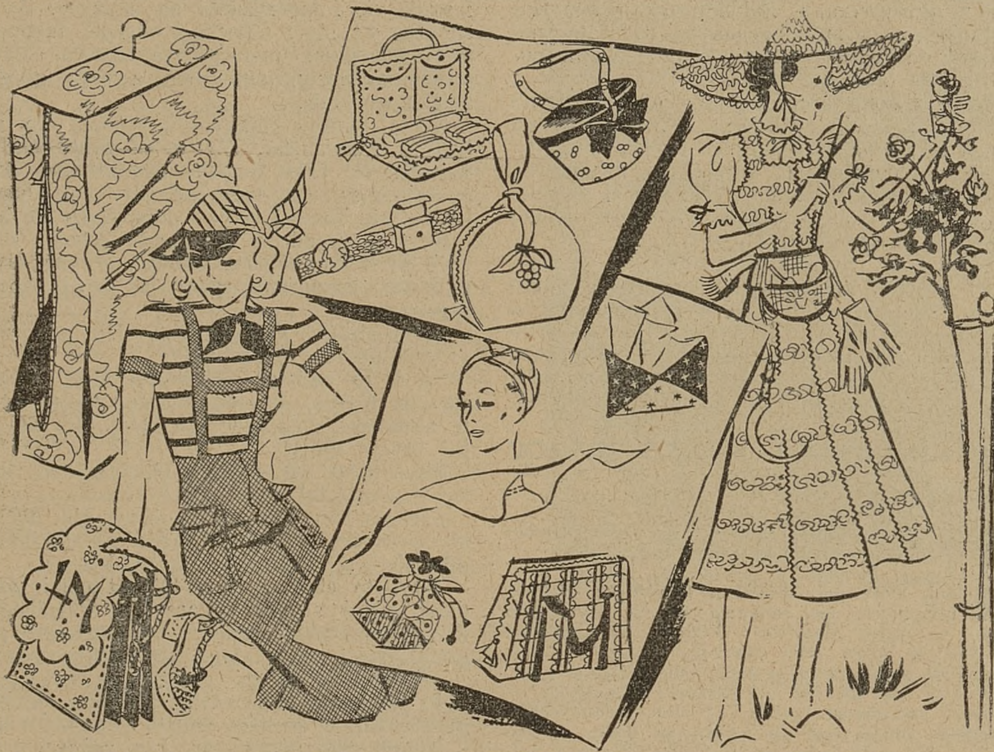
A gdy już sen mi powieki zamyka,
kładę swą główkę przy Twojej bliziutko,
i wtedy duszę szczęścia cud przenika
i wierzyć każe, że w dal poszły smutki.

„Lenka".

PRAGNĘ, ABY WSZYSCY BYLI ZADOWOLENI...

„Dyktator". Listów, podobnych treścią do Pańskiego, wpłynęło ostatnio dość dużo do mej „Teczki". Przyznaję im w pełni rację. „Sercem częstokroć więcej się zdziała, niż rozumem" — oczywiście! To też okażę się w wiadomej sprawie jak najwięcej wyrozumiałym i postaram się załatwić ją w ten sposób, aby nikt nie był pokrzywdzony, a przeciwnie — wszyscy zadowoleni. Ślę Panu silny uścisk dłoni, a za rycerską obronę — moje uznanie.

Raj kobiet



Na lewo: Praktyczna szafa składana, wykonana z ceraty, bardzo pakowna. Torebka z kretonu odda duże usługi w podróży. Piżama plażowa, składająca się ze spodni jednobarwnych i bluzeczki trykotowej w pasy.

U góry: Mały neseser z przyborami toaletowymi. — Zgrabny koszyczek obciągnięty kretonem. — Torebka damska, ozdobiona aplikacją i kolorową tasiemką. — Pasek ze skóry z kieszonką. — U dołu: Chusteczka z batystu lub muślinu może być użyta zarówno do ochrony głowy przed słońcem, jak również zamiast szarfy do sukienki. — Saszetka do chusteczek. — Torebka-woreczek z deseniowego kretonu. — Torebka z kretonu do różnych drobiazgów. — Na prawo: Milutka sukienka, t. zw. „chłopka", składająca się z sukienki z deseniowego płótna i białej batystowej bluzeczki. Kapelusz ażurowy, duży, wykonany ze słomy.

Rękawiczki

Rękawiczki zostały daleko później wynalezione od obuwia. Następcy Adama i Ewy, skazani na wieczną walkę o byt i pielgrzymki za pracą musieli pomyśleć wpierw o zabezpieczeniu swych nóg. Obuwie więc ma swoją historię, prawie równoczesną z historią człowieka, któremu ułatwiały życie. Wynalazca obuwia dla zwierząt — podków — nie jest tak odległy.

Dopiero człowiek towarzyski stworzył rękawiczki. Według świadectwa badaczy przeszłości, rękawiczki są pomysłem czysto europejskiej cywilizacji i po raz pierwszy spotykamy je u Greków, używających je dla ochrony rąk przy pracy. Rzymianie wprowadzili rękawiczki u siebie jako uzbrojenie rąk do walki.

W wiekach średnich, turnieje rycerskie wytworzyły potrzebę rękawiczek stalowych i z czasem tak ozdobnych, iż sztuka snycerzy dzisiejszych napróżno siliłaby się naśladować ową wykwintną robotę.

Rękawiczka stała się nieodłącznym ekwipunkiem mężczyzn, uprawiających rycerskie rzemiosło. Symboliczne jej znaczenie, otworzyło drogę do użycia jej w kościołach przy odprawianiu nabożeństw przez wyższych dostojników kościoła.

Dopiero w XIII wieku stała się rękawiczka ozdobą rąk płci pięknej. Wyrabiano je początkowo z różnych cennych tkanin i noszono modele sięgające łokcia. W późniejszym dopiero czasie zaczęto do ich fabrykacji używać skóry.

Rękawiczki skórzane cienkie, zjawiły się we Francji dopiero za Ludwika XIV i stamtąd rozpowszechniło się ich używanie po całej Europie. Do Niemiec zanieśli ją emigranci francuscy w XVII wieku.

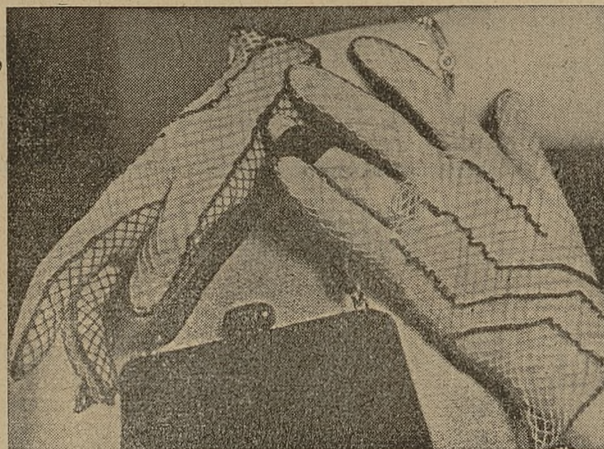
Za panowania Elżbiety w Anglii, rękawiczki były jeszcze wielką osobliwością. Jednak później rok rocznie wyrób ich, łącznie z postępem w dziedzinie wyprawiania skór ozdobnych, zaczął się zwiększać tak, że obecnie doszedł do niezmiernych rozmiarów i to już na całym świecie.

Obecnie rękawiczki odgrywają w życiu człowieka kulturalnego tak ważną rolę, iż pewien dowcipny statystyk francuski, nie bez pewnej słuszności, podzielił ludzkość na dwie połowy — tj. na ludzi, co noszą rękawiczki i na tych, którzy ich nie używają.

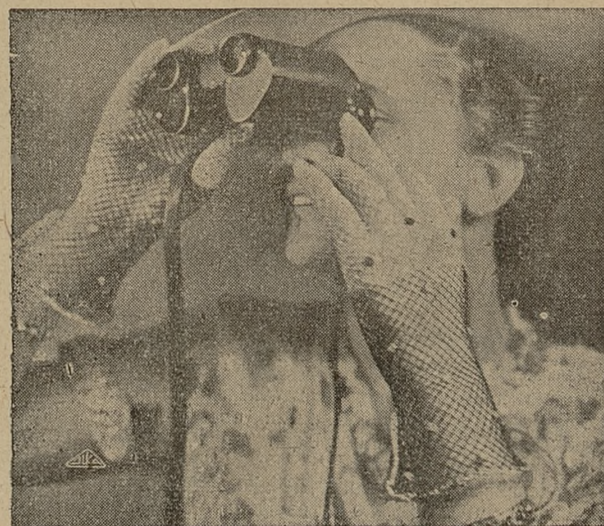
Jeżeli z pewnych znamion można sądzić, stopień kultury danych społeczeństw, to z pewnością również i z liczby zużywanych rękawiczek, jako cechy dbałości estetycznej prezencji naszych rąk i z ilości zużytego mydła, jako cechy czystości.

Wyroby tak charakteryzują człowieka, że gdyby on znikł z powierzchni ziemi, a zostały tylko one, możnaby z nich dokładniejszą z czasem monografię ułożyć, aniżeli z samych żywych osobistości.

Przy całym talencie ukrywania swych myśli, zamiarów i czynów, jakie nam natura udzieliła dla konserwacji samych siebie, ilość zużytych produktów codziennej potrzeby, zawsze świadczy o poziomie i kierunkach zainteresowania społeczeństwa.



Rękawiczki z siatki szarej i granatowej.



Wytworne rękawiczki z siatki białej i granatowej, haftowane w białe i granatowe groszki.

Wywczasy pani domu

Każda pani domu namęczy się przez okrągły rok pracą koło gospodarstwa, dzieci, męża. Poderwie sobie nerwy dzięki kłopotom z pracownicą domową i wreszcie zziajana, zmęczona dociągnie do chwili, w której ma wyjechać na zasłużony odpoczynek, na wakacje!...

Aliści wyłania się nagle ogromnie ważny i niesłychanie kłopotliwy problem, co zabrać ze sobą, a czego nie?!

Zalatana, wiecznie zajęta pani najchętniej zabrałaby ze sobą całą posiadaną garderobę, dalej wszystkie drobnostki; wszystkie przedmioty, do których nawykła od lat, które zawojowały ją i gnębiły przez cały rok równie silnie, jak wszystkie prace domowe, jak dzieci, mąż i pomocnica domowa...

Dlaczego? No, bo przywykła do nich i nie mogłaby już bez nich się obyć. Przynajmniej tak jej się zdaje. A może... może nawet nie myśli o tym, a tylko z przyzwyczajenia, ot, tak machinalnie pakuje niezliczone walizki, kufry i pudełka.

Gdyby zastanowiła się głębiej, rozważyła, na pewno uznałaby bezpodstawność, a nawet poniekąd śmieszność ulegania rzeczom martwym. I na wakacje wybrałaby się z jedną lub dwoma tylko zręcznie upakowanymi walizami, w których byłoby wszystko potrzebne, a nic zbytecznego.

Co należy do rzeczy najpotrzebniejszych na wakacjach?

Przede wszystkim ze sprzętów, które potrzebne są do letniskowego gospodarstwa, zabiera się tylko najpotrzebniejsze.

Jeżeli chodzi o garderobę, to wystarczy jeden kostium podróżny, sportowe buciki na płaskich obcasach, duża podróżna torba, lekki płaszczyk impregnowany, na wypadek częstych zresztą u nas deszczów, 2—3 sukienki w lekki barwny deseń, uszyte wygodnie i prosto. Do nich jako uzupełnienie, biały żakiecik z jedwabnej piki. Jedną sukienkę wełnianą, jasną. Dalej lekkie sandały, wykonane z cienkiej, lecz mocnej skórki, beret, kilka par skarpetek, kilka par modnych pończoch, bo te zawsze są potrzebne, nawet na najbardziej „zakutej wsi. Ponadto wełniany kostium kąpielowy, płaszcz frottowy, białe shorty, nadające się równie doskonale do opalania, jak i do sportów. No i kilka kompletów jedwabnej, trykotowej bielizny.

Jeszcze o czymś należy pamiętać! Mianowicie o pudełku ze skompletowanymi przyborami do szycia, jako że zawsze może się coś rozedrzeć i wymagać natychmiastowego zreperowania, oraz o maleńkiej podręcznej apteczce. Jodyna, octan glinkowy, kilka „kogutków", gaza sterylizowana, wata, olejek rycynowy, woda utleniona i mydło barskie — to niezbędne rekwizyty takiej dobroczynnej skrzyneczki, którą się lekceważy w chwilach zdrowia, a która może nagle okazać się potrzebniejszą od takiego, czy innego kostiumu, który raczej niech pozostanie w obszernej, wygodnej szafie, zapewniającej mu świeżość i bezpieczeństwo, aż do triumfalnego powrotu właścicielki.

Mirania Galińska.

DOBRA GOSPODYNI

Konfitury truskawkowe. Zebrane w suchy dzień truskawki obrać z korzonków, opłukać w zimnej wodzie obsuszyć na sicie, a potem maczać każdą, nadziawszy na szpilkę, w spirytusie lub araku i kłaść do gęstego i gorącego syropu, zagotowanego z 2 kg cukru, licząc na 1 kg owocu. Nazajutrz smażyć na wolnym ogniu przez 20 minut,, wyszumować ostrożnie i zimne już złożyć do słoików.

Jam z truskawek. Wybrać dojrzałe truskawki, 2/3 kg przetrzeć przez sito, zagotować syrop z 1 kg cukru, włożyć miazgę i pozostałe owoce w wadze 1/3 kg, smażyć jak zwykle. Można też użyć truskawki rozduszone tylko, a nie przetarte — jam będzie wtedy zawierał więcej ziarnek. Smażyć do przeźroczystości, mieszając starannie, żeby nie przywarły. Włożyć gorące do naczyń i nazajutrz dopiero związać.

Mus truskawkowy. Pół łyżeczki żelatyny namoczyć w 2 łyżkach wody, poczem wlać ją do filiżanki mleka z puszki i zagrzać. Gdy mleko ostygnie, ubić trzepaczką, dodać łyżeczkę wanilii, na końcu półtora filiżanki pogniecionych truskawek, zmieszanych z 1 filiżanką cukru pudru. Wymieszać razem i włożyć do foremki, poczem postawić na lód na 3—4 godzin.

Powidełka z rabarbaru i truskawek. Oczyszczonych truskawek jedną kwartę pokrajać na małe cząstki, dodać do nich pokrajanego rabarbaru, wsypać 4 filiżanki cukru i pozostawić na godzinę. Gdy soku jest dosyć, włożyć do szklanek lub słoików i obwiązać pergaminem.

Kompot z agrestu. Pół kg agrestu obrać z szypułek i wrzucić w gotujący się syrop, biorąc ćwierć kg cukru na pół litra wody, zagotować i wylać na salaterkę.

Konfitury z agrestu. Niedojrzały jeszcze, wydrelowany z pestek agrest wrzucić do zimnej wody i dobrze zagrzać, ale nie dopuścić do zagotowania. Potem wybrać łyżką durszlakową i włożyć do wody z lodem, Gdy przestygnie, zmienić wodę, dodać lodu i wynieść do piwnicy. Na drugi dzień zagotować syrop. biorąc 1 kg cukru na 1 kg owocu, zupełnie zimnym zalać przecedzony owoc i znowu odstawić. Następnego dnia dodać pół kg cukru do zlanego syropu. wyszumować i ciepłym zalać agrest, a czwartego dnia dodać jeszcze 1/2 kg cukru, wygotować go do odpowiedniej gęstości, szumując starannie wrzucić weń agrest i smażyć na wolnym ogniu, aż będzie miękki i przeźroczysty. Na 1 kg konfitur dodać pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Studzić w salaterce. Dopiero następnego dnia składać w słoje.

Ze świata

Wyłom w tradycji Habsburgów

Arcyksiążę Albrecht Habsburg oświadczył przedstawicielom prasy, że zawiadomił regenta Horthy'ego, o swym zamiarze poślubienia w najbliższym czasie nauczycielki p. Katarzyny Bocskay Felsoe-Banya.

Arcyksiążę Albrecht dodał, że jako obywatel węgierski poczuwa się do obowiązku stosowania się do przepisów, obowiązujących w jego ojczyźnie.

Oświadczeniem to jest pierwszym wyłomem w rodzinnej tradycji Habsburgów, zobowiązującej jej członków do uzyskiwania zezwolenia na małżeństwo od głowy rodu, w tym wypadku arcyksięcia Ottona.

Arcyksiążę Albrecht Habsburg, który bez zgody głowy domu Habsburgów postanowił poślubić szlachciankę węgierską p. Katarzynę Bocskay de Felsoe - Banya, wstępuje obecnie powtórnie w związki małżeńskie.

Pierwszą żoną arcyks. Albrechta była Irena Leibach, z którą arcyksiążę rozwiódł się po dwóch latach na życzenie rodziny Habsburgów.

Obecna narzeczona arcyksięcia, Katarzyna Bocskay, pochodzi ze starej zasłużonej w dziejach Węgier rodziny Bocskay, spokrewnionej z rodziną Batorych.

Jeden z jej przodków, Stefan był w pierszych latach XVII-go wieku księciem Siedmiogrodu. Walcząc skutecznie z Habsburgami o niepodległość kraju, zawierając układ w Wiedniu w roku 1606, zmusił on Habsburgów, do uszanowania praw królestwa, przywiezienia korony i zgody na tolerancję religijną.

Ograniczenia czasu pracy — słoni

Rząd niepodległego państwa Travancore (Indie) wydał zarządzenie regulujące czas pracy słoni.

W głównej świątyni w Travancore jest 25 świętych słoni, które poza udziałem w różnych ceremoniach religijnych, nie zabierających im zbyt wiele czasu, są przez dozorców świątyni wynajmowane do różnych robót jako zwierzęta pociągowe. Zauważono że zwierzęta te są nadmiernie przepracowane, co odbiło się na ich zewnętrznym wyglądzie.

Nowe zarządzenie ustala, iż nie wolno słonia zatrudniać dłużej nad 12 godzin na dobę, a jako zwierzę pociągowe słoń może przebyć dziennie najwyżej 10 mil. Ustalono również górną granicę ciężaru, jaką wolno ładować na słonia.

Właścicielom i dozorcom słoni, którzy przekroczą nowe przepisy, grożą surowe kary.

W ten sposób słonie w Travancore znalazły się w lepszej sytuacji od ludzi w Travancore i w wielu innych krajach, gdzie nie ma żadnych przepisów regulujących czas pracy oraz wymiary ciężarów, jakie można na człowieka nałożyć.

Zapomniał mówić

Francuska żandarmeria w pobliżu Laval zatrzymała w jednym z lasków okolicznych zupełnie zdziczałego 60-letniego starca, odzianego w resztki łachmanów i chodzącego na czworakach.

Człowiek ów miał kolana i ramiona pokryte grubą warstwą zrogowaciałej skóry. Zapomniał mówić i nie umiał wskazać, skąd pochodzi i gdzie zamieszkuje jego rodzina, zdobywając się jedynie na wymienienie swego imienia. Policja i władze wszczęły dochodzenia, aby odnaleźć rodzinę nieszczęśliwca.

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

Wakacje mojego stryja

(opowiadanie prawie wesołe).

Historia ostatnich wakacyj mego stryja może u niejednego wzbudzić głośny śmiech, ale również wycisnąć z oczu szczere łzy... tak jest na pewno, proszę mi wierzyć! Z zasady nie żartuję i teraz tego nie uczynię. Poprzestanę tylko na dokładnym opisie ostatnich wakacyj mojego stryjka.

A więc stryj mój nazywa się Hipolit Skowronek... Proszę się nie śmiać, bo już niezadługo zdążą Czytelnicy przekonać się, że celowo podałem im nazwisko... A więc przystępuję do dalszego opisu.

Wakacje mojego stryja rozpoczęły się pierwszego lipca, tak, naprawdę pierwszego lipca! Otóż rozpoczęły się, jak wakacje każdego sumiennego urzędnika XI grupy, uporządkowaniem akt, biura, słowem doprowadzeniem wszystkiego do takiego stanu, w jakim chciałoby się to „zastać".

Przez trzy dni kochany stryj myślał nad tym, jak spędzić wakacje. Zdawał sobie sprawę z tego, że pozostanie przez pewien czas we własnym, kawalerskim mieszkaniu, było by dla niego odpoczynkiem, ale... on przecież chciał jakiejś odmiany wrażeń, chciał się zabawić, a może i nawet zakochać, o ile by nadarzyła się sposobność. Był przecież jeszcze młody, wprawdzie tochę gruby, ale kobiety takich też lubią. „Są gusta i guściska" — mawiał stryj.

Namyślał się, aż wreszcie trzeciego dnia wieczorem wpadł mu do głowy genialny pomysł, godny samego Napoleona (naturalnie pierwszego.) Stryj miał trzy ciocie i trzech wujów, z których jedna ciocia mieszkała w Gdyni, jeden wuj w Zakopanem, a reszta rozsiana była po wszystkich zakątkach Polski.

Do Gdyni opłaci się jechać — kalkulował po kupiecku. Gdynia, zawsze to polski port. I statki są i Amerykanki na statkach. A nuż się jaka we mnie zakocha i obsypie milionami! A i Zakopane nienajgorsza dziura. Ludzie jeżdżą na narty, panny też, a więc może co z tego wyniknie.

No i Hipolit Skowronek napisał do nich listy z zapytaniem, czy może przyjechać na wakacje. Po kilku dniach otrzymał pięć listów — tak, pięć, nie, sześć... Siostry list zapewne jeszcze nie doszedł, więc i odpowiedzi nie było.

Stryj drżącymi ze wzruszenia rękoma otworzył pierwszą kopertę i wyjął z niej kartkę o bardzo lakonicznej treści, jak zaraz naocznie przekonam:

„Wyjeżdżamy na olimpiadę. Nie przyjeżdżaj — Stefanostwo Drozdowie".

— A to szelmy — zawołał stryj ze złością. — Widać, że dorobili się, bo nawet na tę szatańską olimpiadę ich stać! Ho, ho, czy już kryzys minął?

Stryj temu nie wierzył. Otworzył też drugi list i przeczytał następujące słowa:

„Twego listu nie otrzymaliśmy. Nic nie wiemy o twoim przyjeździe, więc nie rób niespodzianek — Gertrudowie Cymbałowie".

— A to cho... stryj Hipolit chciał powiedzieć jakieś słowo, mające coś wspólnego z dziesięcioma przykazaniami, ale ostatecznie przeczytał trzeci list od Janostwa Dusigroszów:

„Wysłaliśmy naszą córeczkę na wakacje, co było połączone z pewnymi kosztami. Jesteśmy przekonani, że kochany wujcio zjawi się u nas...

Hipolit Skowronek zarżał z radości i podniósł jeszcze raz papier do oczu, aby powtórnie przeczytać te piękne słowa. I wtedy poza tymi znalazł jeszcze inne:

„... ale na drugi rok..."

— Nie mają ludzie serca — biadał. — Ja to bym nie mógł odmówić takiej drobnostki.

Cóż było robić?... Pozostały jeszcze dwa listy. Może one będą lepsze. Przeczytał więc czwarty:

„Kochany Stryju — pisali — bardzo nas cieszy, że tęsknisz na nami, ale sądzimy, że sprawimy ci większą radość, przyjeżdżając do ciebie — Klopsowie".

Stryj spocił się. Sam widziałem krople rosy — przepraszam — potu na jego czole.

Piąty i ostatni list przeczytał, siedząc na krześle. Gdyby nie ten ostatni środek ostrożności, stryj na pewno by upadł na ziemię, po przeczytaniu tych słów:

„Winieneś 100 złotych. Jak zapłacisz, to możesz przyjechać — Zającowie".

— Ufff... gorąco...

Na prawdę było gorąco, przynajmniej stryjowi, bo mnie nie. Ja mu się nawet nie dziwiłem i — pochwalę się — otworzyłem ze współczuciem szeroko drzwi, skutkiem czego doleciał do uszu moich — i stryja — jakiś hałas z dołu. Długo nie rozumieliśmy nic. Ale wkrótce wszystko się wyjaśniło, bo do pokoju weszło dziesięć osób: Drozd z żoną, Jan Salomea Dusigroszowie, Cymbał i Cymbałowa — bezdzietne małżeństwo od lat dziesięciu, no i obiecujący Klopsowie, a w końcu Zającowie.

— Przyjechaliśmy do ciebie na wakacje — zawołali, wyciągając miłośnie ramiona do oniemiałego stryja Hipolita.

Podałem mu jeszcze nieco wody i wyniosłem się szybko. Nazajutrz zdobyłem się na odwagę, aby na drugi dzień w rubrycze „wypadki" przeczytać wiadomość:

„Usiłował popełnić samobójstwo Hipolit Skowronek, bezżenny, lat trzydzieści dwa, wzrost 165 cm. oczy czarne, brwi takie same, znaków szczególnych żadnych.

Niedoszłego samobójcę przewieziono do szpitala, gdzie niewątpliwie spędzi jeden miesiąc. Stan jego (naturalnie Hipolita, nie szpitala) nie budzi poważnych obaw, ponieważ wszyscy krewni, którzy przyjechali do wspomnianego powyżej Skowronka, obrażeni wyjechali od niego tego samego dnia, obiecując, że już więcej nie wrócą".

Mam wrażenie, że stryj był szczęśliwy, kiedy przeczytał ostatnie zdanie. Ale ostatecznie tegoroczne wakacje spędził... w szpitalu.

„Te-Em".

IRENA MOKRZECKA

Kaprys losu

NOWELA

Początkujący literat, Antoni Wierusz, wpadł jak bomba do izdebki, zajmowanej na spółkę z przyjacielem, również początkującym malarzem, Wojciechem Bryndzą, cisnął na stół trzymany w ręku rękopis i zaczął biegać po pokoju, jak rozjuszony tygrys w klatce.

— Antek, nie rób szumu powietrza — odezwał się flegmatycznie leżący na łóżku współlokator. Może ciebie kolka chwyciła, to weź na przeczyszczenie; ogłasza się w każdej gazecie — woda Franciszka Józefa.

— Zamknij się owcza bryndzo. Nie kolka chwyciła, ale znowu klapa.

— Klapa? Aha! No, to było do przewidzenia.

Wierusz zatrzymał się.

— Dlaczego to było do przewidzenia? Może nie mam talentu?

— Owszem, owszem, talent masz, ale prócz talentu dziurawe buty, rozczochraną głowę, wyplamione palto. Całość najmniej wzbudzająca zaufanie. Redaktorzy pism, dyrektorzy wytwórni filmowych boją się, żebyś im zegarka lub jemu podobnych nie „zwędził". Znasz przysłowie: „Jak cię widzą, tak cię piszą". Smutne dla nas sankiulotów, lecz prawdziwe.

— Więc co mam robić, za jakie trzy grosze załatam buty?

— Nic nie robić, uzbroić się w cierpliwość.

Wierusz zrzucił zniszczone palto, podszedł gwałtownie do przyjaciela, włożył ręce w kieszenie wytartej marynarki i wyprostował się.

— Patrz! — rzekł groźnie.

Wojciech odwrócił wstydliwie głowę.

— Fe, Antek, jaki ty jesteś nieprzyzwoity. Na co mam patrzeć?

— Nieprzyzwoity! Patrzcie go, virgo intacta. Patrz, mówię, gdzie mam to, co się u ludzi nazywa brzuchem?

— Brzuchem? — powtórzył Bryndza. — No, brzucha, co prawda nie widzę, ale za to masz jamę brzuszną. Na jedno wychodzi.

— Tak, właśnie na jedno. A wiesz ty, że w tej jamie brzusznej od wczoraj tylko kawałek czarnego chleba siedzi.

— Siedzi powiadasz? To źle, że siedzi. Mówiłem weź na przeczyszczenie.

— Idź do diabła z dowcipami. Głodny jestem, rozumiesz! Zjadłbym ciebie, gdybym mógł strawić ośle mięso.

— Bo mówiłem ci już dawno, zrzuć pychę z serca i zapisz się do bezrobocia. Korona, której nie posiadasz, z głowy by ci nie spadła. Wyrobię ci prefekcję, bom się już tam dawno zapisał. A gdybym się nie zapisał, to by i ten kawałek chleba w twej jamie brzusznej nie siedział.

Wierusz osunął się na kulawe krzesło i zamyślił się ponuro.

— Spróbuję ostatniego sposobu — rzekł wreszcie. — Napiszę list do dyrektora wytwórni filmowej „Dwa światy". To podobno prawdziwy mecenas sztuki. Może mi się uda.

— A masz papier, kopertę i znaczek?

— Wyobraź sobie — mam. Pozostałość po 7-miu latach tłustych.

Usiadł przy stole i zaczął pisać.

— — — — — — —

Pan Maurycy S. dyrektor wytwórni filmowej „Dwa światy" miał dziś dzień, co się zowie, feralny. Przede wszystkim, zaledwie zdołał przetrzeć ze snu oczy, żona jego znana ze skąpstwa zaczęła mu czynić gorzkie wyrzuty za przegranie poprzedniego wieczora znacznej sumy w pokera, potem służąca stłukła pamiątkową filiżankę kawy.

W biurze czekały dyrektora również duże przykrości. Pomocnik jego miał w nocy atak wątroby. Przywlókł się co prawda na stanowisko, ale był taki zbiedzony, nieszczęśliwy, żółty, że pan Maurycy poprosił go, aby poszedł do domu, wszystkie zaś kłopoty wziął wyłącznie na swoją głowę, tym bardziej, że nawet ze starym kasjerem, któremu ufał, poradzić sobie nie mógł, bo ten miał znowu na zmianę pogody bóle reumatyczne, szczerzył więc groźnie resztki pięknego niegdyś uzbienia na artystów, a mogło się dostać i dyrektorowi.

Miał więc biedny pan Maurycy kłopotów co nie miara. Najwięcej jednak irytował go złośliwy artykuł, skierowany przeciwko niemu w gazecie „Nasz Głos", na temat gorliwego popierania przez pana Maurycego początkujących literatów, poetów i artystów filmowych.

Artykuł zaznaczał złośliwie, że dyrektor chce sobie w taki sposób zdobyć popularność w bandzie sankiulotów, pragnąc w taki sposób zabezpieczyć od rabunku kapitały, zdobyte nakręcaniem filmów.

— A łajdaki, mruczał dyrektor, chowając skrzętnie przeczytany numer „Naszego Głosu". — Pokażę im, co znaczy mnie zaczepiać, odpowiem tak, że w pięty pójdzie.

Na domiar złego sekretarka osobista dyrektora dostała fluksji. Twarz miała tak zapuchniętą, że nos podjechał pod prawe oko. Czytanie korespondencji przerywała co chwilę bolesnymi okrzykami: „Ach, och, jak boli"!



Król szwedzki Gustaw V., obchodzący ostatnio 80-lecie swych urodzin, w czasie przejazdu z rodziną ulicami Sztokholmu



Wielki stadion w Nowym Jorku, gdzie rozegrano mecz bokserski Schmeling - Louis.

— Ozłocę tego, co mi poprawi humor — zasyczał zrozpaczony dyrektor. Mam po same uszy waszych pogrzebowych min. Ta z fluksją, ten z wątrobą, tamten z reumatyzmem.

— Żeby pana dyrektora tak zęby bolały — zajęczała sekretarka.

— Wiem, wiem — przerwał ze złością — bardzo pani współczuję. Proszę czytać dalej.

— Zdaje mi się, że już wszystko. Ach, przepraszam, jest jeszcze rękopis i list.

— Rękopis? Oj pewnie znowu jakiś początkujący pisarzyna, proszę jednak przeczytać.

— Sekretarka wzięła list i zaczęła czytać jęczącym, monotonnym głosem:

Szanowny panie dyrektorze,
Surowy nasz inkwizytorze,
U stóp twych kładąc dramat nowy,
Ze strachu drżę od stóp do głowy.
Z głębin głodnego zawsze brzucha,
(albowiem wielka jest posucha)
Powstałe te ponure sceny,
Posyłam Tobie do oceny.
O wszechpotężny Dalaj - Lamo,
Tajemnic naszych złota bramo,
W pokorze wielkiej Ciebie proszę,
Nie wrzucaj pracy mej do kosza.

— Czy pani rozumie co czyta?! — krzyknął nagle dyrektor.

— Czy rozumiem, panie dyrektorze — wyjąkała przestraszona sekretarka.

— To dlaczego pani tak miamli, więcej uczucia, energii. Proszę czytać.

Sekretarka czytała dalej:

Kończę, nieśmiało myśląc sobie,
Że w tej pomocy bliźnim dobie,
By mi do pracy dać ochotę
Dyrektor prześle parę złotych,
Robię więc hop! — mortale salto,
Owijam się w dziurawe palto.
Składam swój list, naklejam znaczek,
Na pocztę spieszę nieboraczek
I puszczam go na szczęścia los,
Wesoło gwiżdżę, niby kos.
Słonko tak grzeje, zboże suszy,
Ach jak promienieje mi na duszy.
Antoni Wierusz, literat bez teki,
Wilno, Żwirowa Góra 7—2.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się dyrektor — paradny facet. Proszę zawinąć rękopis, przejrzę go w domu. Tymczasem proszę pisać.

Sekretarka usiadła przy maszynie. Dyrektor dyktował.

— Do p. Antoniego Wierusza, Wilno, Żwirowa Góra 7—2.

Szanowny Panie literacie,
Mnie wcale miły Panie Bracie.
Odważnie zrób mortale salto,
Owiń się w swe dziurawe palto.

— Jaki dziś dzień mamy? Środa?

— Tak, panie dyrektorze.

— Aha, proszę pisać:

Spiesz do dyrekcji w piątek z rana,
Posada czeka tu na pana.

— Przepraszam, panie dyrektorze — odezwała się słodziutko sekretarka. — Pozwolę sobie zapytać, czy pan dyrektor żartuje, czy też mam rzeczywiście posłać to pismo?

— Najrzeczywiściej w świecie. Mówiłem już, że mi wasze pogrzebowe miny kością w gardle stoją. A ten chłopak mi się podoba, będę miał choć jedną pogodną twarz w naszym zespole. Potrafię znaleźć dla niego coś odpowiedniego. A „Nasz Głos" będzie wiedział gdzie mam jego złośliwe artykuły.

Dnia tego, ubierając się w przedpokoju, dyrektor, ku zdumieniu woźnego, nucił półgłosem:

Więc robię hop! mortale salto,
Owijam się w dziurawe...

Spojrzał na swój nowiutki, niedawno od krawca przyniesiony płaszcz. Hm! — mruknął.

— Owijam się w swe całe palto — schodząc po schodach nucił dalej:

I puszczam się na szczęścia los,
Gwiżdżąc wesoło niby kos.

A na ulicy kończył:

Słonko tak grzeje, zboże suszy,
Ach, jak promienieje mi na duszy.

Wywinął wesoło laseczką i ruszył prędkim, elastycznym krokiem na obiad do restauracji.

MGR. S. LUBIENIECKA.

Uśmiech Bożenki

NOWELA

Remington klekotał miarowo i szybko. Dyktowane słowa, niemal równocześnie z ich wymówieniem, utrwalały się na znormalizowanym, firmowym blankiecie.

Ostre światło wiszącej nad maszyną lampy obejmowało szczupłą postać Bożenki Libickiej, pełzało po jej drobnych plecach, zwlekało się na biel papieru.

Za chwilę Władysław Żelisławski przestał dyktować, namyślał się, chodząc nerwowo po gabinecie.

Bożenka czekała w milczeniu. Czuła się znużoną trwającym już długo pisaniem. Żelisławski był wymagający dla siebie i innych, korespondencja nie mogła nigdy zalegać, na wszelkie listy trzeba było odpowiadać natychmiast po ich otrzymaniu. To właśnie było powodem, iż mimo, że upalny, letni wieczór nie zachęcał bynajmniej do pracy, zadzwonił do Bożenki, prosząc ją o przybycie wieczorem do redakcji pisma „Urbanistyka Polska", którego on był odpowiedzialnym redaktorem, a ona sekretarką.

Naturalnie Bożenka zjawiła się o cały kwadrans za wcześnie, i skorzystała z tego, aby uporządkować korespondencję, ułożyć, nadesłane pocztą czasopisma fachowe, oraz wprowadzić potrzebne zmiany adresów do kartoteki prenumeratorów.

„Już zaraz kończymy, powiedział nagle Żelisławski, zatrzymując się przy Bożence, jeszcze ten jeden list i będziemy mieli oboje zupełnie dosyć roboty na dzisiejszy wieczór".

„Proszę WPana Profesora o wydanie opinii w powyższej sprawie, oczekujemy łaskawej odpowiedzi i pozostajemy z poważaniem," uderzyły w ostatnim akordzie białe klawisze. Bożenka położyła przed swym zwierzchnikiem skończony, związany z ważną sprawą redakcyjną, gotowy do podpisu list. Jak zwykle przejrzał maszynopis i podpisał dużym, nierównym charakterem człowieka, dla którego życiowym motorem są napięte, jak cięciwa, chociaż starannie utrzymywane w karbach żelaznej woli, nerwy.

„Pewnie moja sekretarka już bardzo zmęczona?" rzucił wesoło, obejmując serdecznym, dobrym spojrzeniem swych siwych źrenic, śniadą twarzyczkę dziewczyny. W głosie jego brzmiała jakaś ciepła nuta, drgająca zawsze, ilekroć kończyły się zajęcia urzędowe.

Bożenka w uśmiechu pokazała dwa rzędy białych, bardzo silnych zębów:

„Troszeczkę, ale to nic, już przechodzi, pójdę sobie pieszo do domu i wszystko będzie dobrze, nic tak nie pomaga na zmęczenie, jak świeże powietrze..."

„Taki cudny czas, rozgwieżdżone niebo....... a ja kazałem pani siedzieć tak strasznie długo w tym dusznym gabinecie, no, ale teraz będzie znacznie mniej roboty, bo, nie wspominałem zdaje się jeszcze o tym, panno Bożenko, Instytut Badań Architektonicznych wysyła mnie dla przeprowadzenia pewnych studiów do Włoch, na... niech pani zgadnie na jak długo?

„Nie wiem, uśmiechnęła się znowu Bożenka, na miesiąc może?"

„Na miesiąc? Nie, dziecko moje, na cały rok".

Bożenka podniosła na Żelisławskiego przerażone oczy. Na tak długo? Nie dzieliła wcale jego zapału, było jej dziwnie smutno.

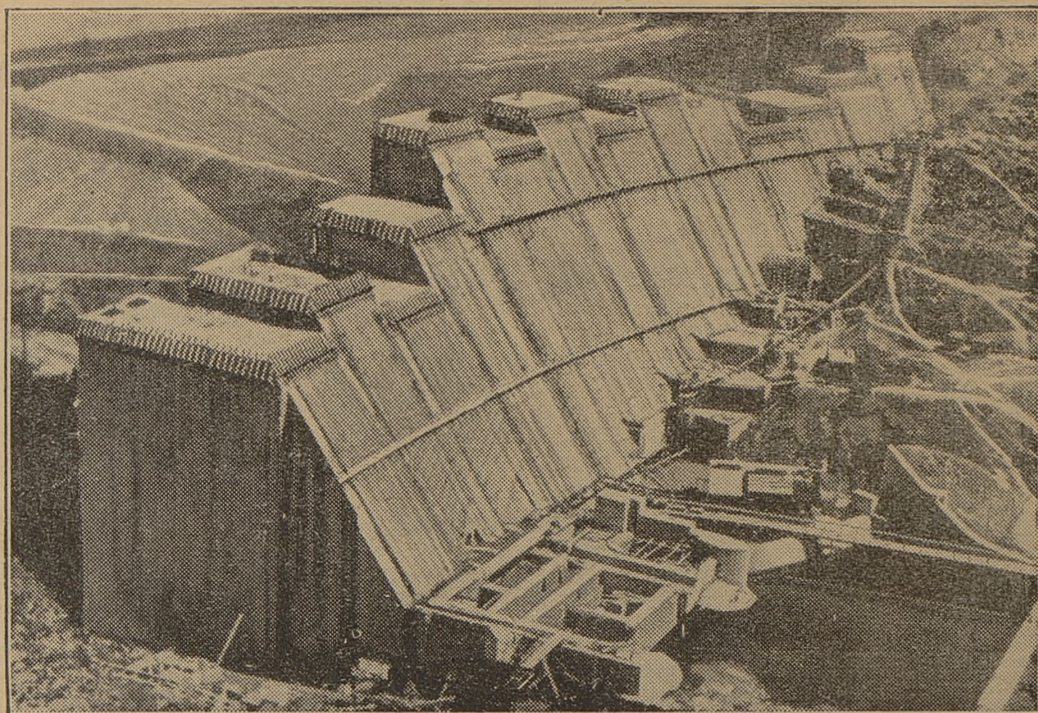
„A potem, spytała cicho, potem pan tutaj powróci?"

— „Potem nie powrócę napewno, muszę zrzec się pracy redakcyjnej ponieważ Instytut zaangażował mnie na stałe i nie będę w możności pogodzić tych dwóch stanowisk".

I wtedy stało się coś dziwnego. Usta Bożenki zaczęły najpierw trochę drżeć, jak usteczka małego, bliskiego płaczu dziecka, a następnie wyrzuciła z siebie jednym tchem:

„A ja? Co ja będę tu robiła bez pana?"

Na opalonej, męskiej twarzy Żelisławskiego odmalowało się zakłopotanie. Nie spodziewał się takiego wybuchu. W jego czynnym, życiu strona uczuciowa, odgrywała, na pozór przy-



W Turyngii rozpoczęto budowę największej w Europie zapory wodnej

najmniej, bardzo niewielką rolę, były w nim wprawdzie studenckie miłostki, jakieś chwile mniej lub więcej poważnych powikłań sercowych, było wreszcie to nieszczęśliwe małżeństwo — wynik głupiej, życiowej pomyłki — z kobietą niedorównującą mu wykształceniem, a zwłaszcza wewnętrzną kulturą... Lwią część dni zajmowała mu praca, ponad siły, wykonywana z rozmachem, z młodzieńczym zapałem, praca wgryzająca się w mózg, w nerwy, niemal w serce, w niej szukał na próżno zatraty świadomości, że jego osobiste życie mogło przecie popłynąć zupełnie innym torem. Stanowisko torowały mu nieprzeciętne zdolności, niezwykły takt w obejściu z ludźmi, wyrobienie towarzyskie, i upór, zaciętość w pracy, dążenie wciąż naprzód i naprzód.

W redakcji „Urbanistyki Polskiej" poznał Bożenkę. Bił od niej spokój, opanowanie; w każdym jej powiedzeniu i ruchu widać było staranne wychowanie i wpływ kulturalnego środowiska — czego zetrzeć nie były w stanie ciężkie warunki materialne, w których — wiedział o tym — znajdowała się wraz z rodziną, a jednocześnie tętniło w niej życie, przelewała się w jej żyłach razem z gorącą krwią radość istnienia, potrafiła drżeć cała pod wpływem nagłego oburzenia i wybuchać niepohamowanym, dziecięcym uśmiechem. Na tle szarzyzny pracy była bajecznie kolorowa, dziecinna nieraz, a jednocześnie przedwcześnie poważna, sięgająca do samego dna najistotniejszych zagadnień życiowych, czasem, jak pensjonarka wesoła, czasem skupiona w sobie i smutna; nie można nigdy było przewidzieć, co powie w chwili nieopanowanej szczerości i co zatai z własnych, dziewczęcych przeżyć, choćby przeżycia te były ciężkie, za ciężkie nawet na jej wątłe barki.

Sumienna w pracy, ambitna do przesady, nie uznająca żadnych kompromisów, gdy chodziło o etykę, nie była jednak Bożenka ideałem pracowniczki skutkiem zupełnej nieumiejętności płynięcia z prądem i biernego poddawania się narzuconemu szablonowi.

Żelisławski zauważył to i polubił ją właśnie za wybitną, niezatracającą się indywidualność prócz tego żywił do niej bezwzględne zaufanie, wiedząc, że każda powierzona jej praca zostanie wykonana z dużym nakładem inteligencji i obowiązkowości.

Gdy wchodził do gabinetu, często zszarpany nerwowo i zmęczony fizycznie, na progu czekało na niego zawsze jej jasne, radosne spojrzenie, miły uśmiech i mocny, szczery uścisk dłoni.

Wiedział, że lubiła go bardzo, ale mimo to wykrzyknik jej zdziwił go niesłychanie. Teraz jednak, patrząc na jej szczupłą twarzyczkę w obramowaniu puszczystych, spiętych w ciężki węzeł włosów począł przypominać sobie drobne, nic nieznaczące szczegóły i starannie dotąd odpychana myśl poczęła świtać w jego mózgu. Czyż by Bożenka? Więc był dla niej kimś więcej, niż bardzo sympatycznym zwierzchnikiem? A czy z jego strony stosunek do Bożenki oparty był tylko na pewnej wyrozumiałości? Dlaczego odczuwał nieraz nieprzepartą chęć położenia ręki na jej pochylonej główce? Dlaczego musiał dzielić się z nią zawsze ze swymi planami, powodzeniami i niepowodzeniami w pracy zawodowej, pytać o radę, cieszyć się — widzieć, że jest z niego dumna? Szereg pytań, których nie stawiał sobie dotąd nigdy, poczęło tłoczyć się mimo woli, natarczywie przenikać do głębi jego świadomości.

Odpowiedział pół żartem:

„Pani, panno Bożenko, będzie sobie dalej pracować bez nudnego, wymagającego szefa"...

Bożenka spuściła głowę i przebierając nerwowo palcami po bibule, milczała uparcie.

Usta miała zacięte, brwi zmarszczone, jak wówczas, gdy coś sprawiło jej dużą przykrość.

„Trzeba być rozsądną, — usłyszała jego spokojny głos, — dorosła kobieta i zachowuje się, jak mała dziewczynka. Mój Boże, że ktoś wyjeżdża... Ja? Mój wyjazd? To przecież taka błahostka w zestawieniu z innymi sprawami.

„Pyłek w zestawieniu z wiecznością — mruknęła, a jednak, jednak chciałabym, żeby wszystko mogło pozostać, tak, jak jest teraz".

Żelisławski zamyślił się. Może oni oboje grali przed sobą komedię na to tylko, by jedno nie mogło z twarzy drugiego nic więcej wyczytać, prócz tego, co mogło być bezkarnie dostrzeżone przez wszystkich ludzi?



Miła scenka z wywczasów nad morzem

Zaczął tłumaczyć łagodnie, nie dobierając słów, a posługując się tymi, które same przychodziły mu na usta:

„Powiem pani coś, Bożenko, czego nikt inny nie usłyszał nigdy ode mnie i nigdy nie usłyszy. Mnie życie nie pieściło, od wczesnej młodości była w nim zawsze praca i obowiązek i praca, nic więcej. To podobno dużo, ale naprawdę — to nic."

„Może była tam jeszcze jakaś tęsknota za wielkim uczuciem, ale w każdym razie bardzo starannie ukryta. Poco ktokolwiek miał wiedzieć, co się wewnątrz mnie dzieje? Jestem za twardym człowiekiem na to, by być romantykiem. Byłem zawsze sam i wiem, że przeznaczeniem moim jest pozostać samotnym. Moje małżeństwo? Kobieta, która została moją żoną? Wolnej, a nie przymuszonej woli przysięgaliśmy sobie... Cóż ona jest winna, że kochając mnie, po swojemu, ale kochając, nie potrafiła dać mi nawet nędznej namiastki szczęścia? Życie składa się często z tragicznych zagmatwań i pomyłek. To wszystko jest bardzo ciężkie, zwłaszcza, gdy w poprzek drogi staje z jednej strony honor jednego, a z drugiej krzywda drugiego człowieka. Praca nie może stać się w życiu wszystkim. Kłamią bezczelnie, lub okłamują siebie, ci co tak twierdzą. Praca, pochłaniająca całkowicie, bez reszty, jest — Bożenko, niech pani wie o tym — przeważnie tylko ucieczką przed przerażającą nas pustką, lub czasem.. ucieczką przed sobą samym... oszałamia, jak narkotyk, daje chwile zapomnienia... Pani jest jeszcze dzieckiem w porównaniu ze mną, nie zna pani życia, nie wie, co to są załamania, tytaniczne walki, byle tylko nie zatracić piętna człowieczeństwa. Mnie już życie dobrze przeorało, daj Boże by panią mogło przynajmniej oszczędzić."

„Pracowaliśmy razem kilka lat, zżyliśmy się ze sobą, ulegałem niekiedy złudzeniom, nie tym złudzeniom, jakie daje praca nad siły, ale tym cudownym, żywym złudzeniom, — jakie szczęśliwcom, specjalnie przez dobry los umiłowanym, potrafi dawać życie. Marzyłem, że i ja mogę mieć prawo do innego domu, niż ten, jaki posiadam i do czyjegoś uśmiechu — dla mnie wyłącznie przeznaczonego... Łudziłem się... Zresztą mniejsza z tym. Dosyć, że dobrze mi było, gdy co dzień od progu witał mnie uśmiech pani; z uśmiechem tym wracałem do domu, towarzyszył mi w pracy, było mi z nim i cieplej i jaśniej.

„Teraz odjeżdżam na długo, na rok. Bóg jeden wie, co ten jeden rok przyniesie pani i mnie, ale jakkolwiek będzie, wiemy oboje, że gdy się kiedyś znowu spotkamy, w jakichkolwiek bądź warunkach spotkanie to nastąpi, podamy sobie zawsze ręce, jak serdeczni przyjaciele.

Głos Żelisławskiego załamał się nagłym wzruszeniem, z którym nie starał się nawet walczyć. Spojrzał na Bożenkę: stała nieruchoma, z pochyloną, tak jak przedtem głową, i tylko długo powstrzymywane łzy lśniącym sznureczkiem płynęły po jej policzkach.

„Bożenko, Bożenko, dziecko moje kochane"

Nie zdając sobie jasno sprawy z tego, co czyni, objął ją silnym ramieniem i całował słone od łez oczy, gorące policzki...

Gdzieś na bezkresach pyłem własnych przeżyć przykrytych dróg zapaliła się świetlna, niezniszczona wizja. Wiedział — wystarczało wymówić jedno, jedyne słowo. Już tak miał dosyć walki, zakłamań, mocowania się ze sobą samym, wszak był — wbrew pozorom — tylko słabym człowiekiem, w którego piersi tłukło się zwykłe, głodne miłości i szczęścia ludzkie serce... I nagle przypomniał sobie twarde słowa, wypowiedziane kiedyś w rozmowie z Bożenką: „Bóg dał na to człowiekowi zęby, by je zacisnąć mocno, gdy coś za bardzo boli".

I kiedy Bożenka, ruchem pełnym bezgranicznego zmęczenia i oddania przytuliła się do niego, drżąca i dziecęco bezradna, odsunął ją od siebie i biorąc jej twarzyczkę w obie dłonie, powiedział:

„Mam taką wielką prośbę i wiem, że pani mi nie odmówi. Na ten długi rok chciałbym wziąć ze sobą, jak promyk słońca, nie łzy — lecz uśmiech Bożenki. Proszę, tak bardzo proszę uśmiechnąć się, choć raz jeden, ale tak radośnie, jak pani uśmiechała się do mnie, czy dla mnie, ile razy wchodziłem tu, do tego pokoju. No, Bożenko, proszę spróbować.

Na świat spływał duszny wieczór. Przez otwarte okna wdzierał się gwar ulicy: klaksony samochodów, przeciągły sygnał pędzącej karetki pogotowia, dzwonki tramwajów, turkot kół, tysiączne kroki i głosy przechodniów wszystko zlewało się w jeden głos, płynącego wartkim strumieniem zbiorowego życia miasta.

W biurkowym pokoju piętrzyły się stosy papierów, szarą plamą znaczyły się stojące na półkach segregatory, na rysownicy bielił się rozpięty rysunek, szczerzył białe zęby stary Remington.

Bożenka podniosła głowę i przez lśniące w oczach łzy uśmiechnęła się do kogoś, kto na drodze jej życia miał pozostać tylko przechodniem...

WANDA JAGIENKA ŚLIWINA

Zła moc

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA

Miłość — ta dziwna posłanka Boga i szatana — stąpa zarówno po miękkich kobiercach królewskiej rezydencji, jak i po zwykłej podłodze z niemalowanego drzewa, skromnych domków i chat.

I jednako dosięga serce prostaczych jak arcypańskich, wlokąc za sobą, zjadliwie chichoczącą zazdrość, swą nieodstępną towarzyszkę, w wędrówce po krainach ciemnoty i kultury.

— — — — — — — — —

Siedemnastoletnia Karolina Maria, królewna belgijska, została szczęśliwą małżonką arcyksięcia Ferdynanda Habsburga i opuściwszy Brukselę, zawitała do naddunajskiej stolicy. Szczęście jej nie miało granic. Znalazła się w tym pomyślnym położeniu, które nie wymagało ofiary serca dla celów politycznych. Dwudziestopięcioletni, piękny arcyksiążę, wzbudził miłość w jej sercu.



Bukiecik dla matki.

Gdy po odbytych ceremoniach weselnych pożegnali etykietę w drzwiach przepysznej sypialni, czarne oczy królewnej zapaliły się radosnym światłem, na powitanie miłosnych upojeń.

— Kocham cię! — wyznała klęczącemu przed nią arcyksięciu — i pragnę być z tobą całe życie szczęśliwa! W tobie będzie mój świat i moje wszystkie najlepsze uczucia.

Wrażliwy Ferdynand, całując jej krucze, rozsypane włosy, był pełen zachwytu dla uniesień nowych.

— Jestem szczęśliwy, że się kochamy! — upewniał z głębokim uczuciem, królewskie, sentymentalne dziewczątko.

Radość Karoliny rozkwitła przepysznym kwiatem wiary w przyszłość. Była pewna, że miłość ich się nie odmieni, aż do końca żywota.

Gdy nazajutrz, wierna garderobiana, przywieziona z Brukseli, starannie rozczesywała potargane, krucze sploty arcyksiężnej, Karolina zwróciła się do niej z uśmiechem:

— Życzę ci, droga Luizo, abyś była tak, jak ja szczęśliwa!

— Pragnę, aby się spełniło życzenie waszej wysokości! — odrzekła z ukłonem.

I naprawdę słodycz egzystencji Karoliny przechodziła wszelkie oczekiwania. Wspaniałe przyjęcia w pałacu cesarskim, piękna opera w Burg-Teatrze, straussowskie walce rozbrzmiewające pod dyrekcją kompozytora, po całym Wiedniu, stanowiły barwne tło, na którym życie haftowało złotą nić miłości.

Aż pewnego razu dyrektor Burgu zaangażował nową tancerkę do cesarskiego baletu, śliczną wiedenkę Fridę.

Arcyksiążę Ferdynand zaniepokoił się w loży, ujrzawszy ją po raz pierwszy.

Nie zrozumiała tego Karolina. Nawet przez myśl nie przesunęło się podejrzenie, temu królewskiemu dziecku, aby książę krwi mógł zniżyć gust z mitry do baletu. Jej czysta, nietknięta uświadomieniem życiowym dusza, chodziła tylko w słońcu, nie szukając ciemnych dróg. Zdziwiona też była niemało, gdy przed końcem przedstawienia Ferdynand nieznacznie opuścił lożę.

— Widocznie jakieś dyplomatyczne względy wywołały go wcześniej! — pomyślała, wracając do siebie w otoczeniu dam dworu. Lecz gdy tej i kilku następnych nocy arcyksiążę nie przestąpił progu jej sypialni, zapłakała belgijska królewna, pod baldachimem złoconego łoża.

Gdy spotkali się przy obiedzie w otoczeniu świty, Karolina zdążyła szepnąć mężowi:

— Wasza książęca mość bardzo był zajęty w ostatnich dniach!

Ferdynand zmieszał się trochę.

— A, w istocie! — odparł z pospiechem — wasza wysokość przebaczyć mi raczy!

Rumieńce, nieme świadki radosnego wzruszenia, zakwitły na pobladłych licach Karoliny.

A Luiza czuwała.

Sprytna, francuska szlachcianka, w dużym mieście wychowana, posiadała o wiele więcej orientacji życiowej, niż jej pani. Przeczuwając coś niedobrego w zaniedbaniu się arcyksięcia, wykorzystała miłość ku sobie statysty z Burg-Teatru i wycisnęła go jak cytrynę.

Prześwidrowany na wskroś zalotnymi oczyma pięknej Francuzki, wyśpiewał, że Jego Wysokość poznajomił się z nową primabaleriną i co wieczór wywozi ją incognito z teatru.

Posiadłszy tę wiadomość, zachłysnęła się nią Luiza i nie była w stanie powiedzieć o niej arcyksiężnie.

— Złudzenie, to też trochę szczęścia! — pomyślała filozoficznie i zacisnęła zęby.

Lecz gdy obojętność arcyksięcia przedłużała się, zbolała Karolina wezwała do siebie garderobianą.

— Bardzo to nieładnie kontrolować swego książęcego małżonka, ufam jednak twojej dyskrecji, Luizo! — rzekła do chylącej się w etykietalnym ukłonie dziewczyny. — Chodź tu bliżej! Pragnę, abyś dowiedziała się, gdzie spędza wieczory wielki książę Ferdynand. Kocham go, wiesz o tym i boli mnie jego abnegacja!

Dziewczyna spuściła oczy.

— Jego Wysokość ma faworytę, primabalerinę Fridę! — wykrztusiła z wysiłkiem.

Karolina zbladła i zachwiała się w fotelu.

— Skąd wiesz o tym?

— Kocham Waszą Wysokość i pamiętam, żeśmy tylko dwie Francuzki w tym austriackim gronie. Bolejąc nad tym, co się dzieje, pilnowałam wielkiego księcia i... upilnowałam!

— Boże! — jęknęła Karolina.

— Niech Wasza Wysokość nie bierze tego zbytnio do serca. Wszyscy mężczyźni są tacy, bez względu na barwę krwi! Nie wątpię, że arcyksiążę kocha Waszą Wysokość po dawnemu. Frida — to zabawka, którą ciśnie, jak mu się sprzykrzy!

Królewskie usta Karoliny dotknęły czoła garderobianej.

— Dziękuję ci za tę pociechę! — rzekła przez łzy. — Ale czemu, Luizo, nie mówiłaś mi nic o swawoli arcyksięcia, widząc jak cierpię?

— Milczałam niepytana, aby nie powiedzieć za wiele!

Tego dnia wieczorem arcyksiężna zawiadomiła swego małżonka, że pragnie być z nim na operze w Burgu.

Zgodził się najuprzejmiej, lecz nie dopisywał mu humor w cesarskiej loży.

Zapytany o przyczynę, spojrzał w prześliczne, czarne oczy swej małżonki i zapłonął.

— Jeżeli wasza wysokość pozwoli, odwiedzę ją dziś w jej nieoficjalnym apartamencie! — odparł, zamiast odpowiedzi.

Do Karoliny uśmiechnęło się szczęście. Perłowe frędzle baldachimu miłośnie drżały tej nocy, nad małżeńskim łożem arcyksiążęcej sypialni.

Piękny Ferdynand był niezrównanym kochankiem. Karolina przebaczyła mu wszy-

stko i nie pytała o nic. Miłość — to płochliwa królewna! Po co ją mrozić zazdrością? Wszak Frida to tylko zabawka! Tak przynajmniej powiedziała Luiza, a ona jest taka doświadczona!

W kilka dni potem, na balu dworskim w Burgu, arcyksiążę zapałał namiętnością do margrabiny Hildy, damy dworu jego cesarskiej mości.

Karolina zauważyła to wkrótce i zgasło jej ożywienie. Piękna wiedenka trwożyła ją swą zalotnością. — Jak można, mając męża, rzucać się tak natarczywie w ramiona żonatego człowieka! — myślała w swej czystej duszy arcyksiężna.

I miała głęboki żal do męża za jego pochopność i brak etyki małżeńskiej.

Rozpoczęły się dla niej znów długie, samotne wieczory, beznadziejnego oczekiwania...

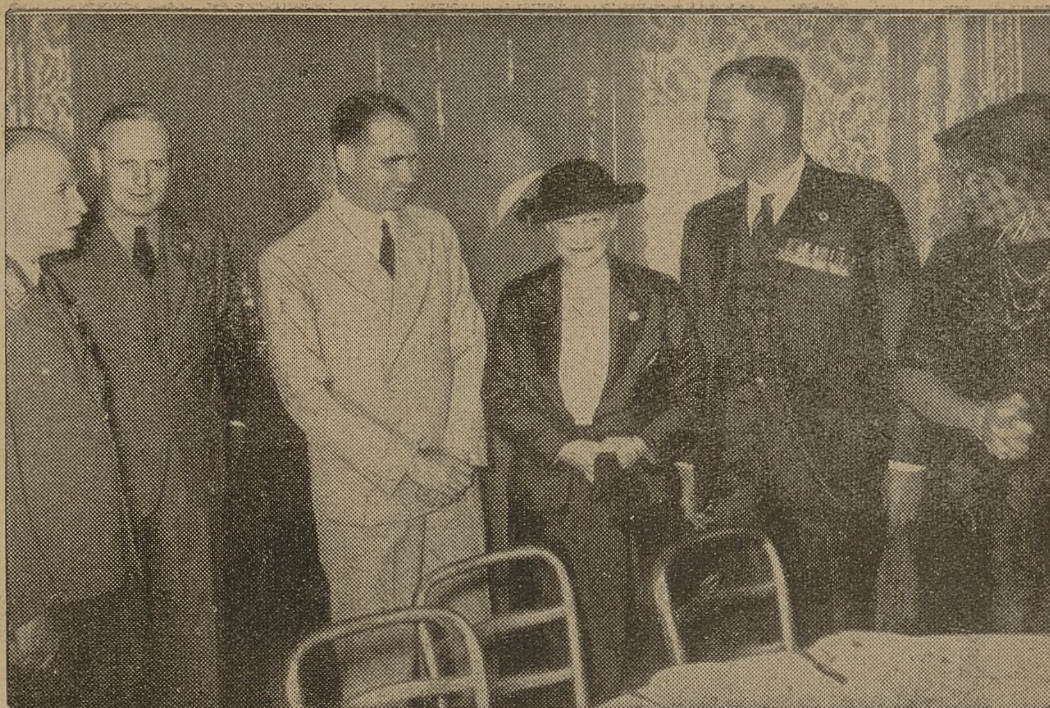
Smutne perły baldachimu, cichym szmerem współczuły, drżącej od płaczu Karolinie, a Luiza stała na straży arcyksiążęcych igraszek.

— Spochmurniała nasza promienna miłość, Ferdynandzie! — zdobyła się raz na wymówkę, gdy znaleźli się sami. — A zgasiły jej blask baletnice Burgu i damy dworu Jego Cesarskiej Mości!

Ferdynand zaciął usta.

— Sceny zazdrości godne są małomieszczańskiej sfery. Małżonka następcy tronu powinna widzieć różnicę dzielącą ją od plebsu! — odpowiedział kwaśno i oddalił się.

Zrozumiała, że gmach jej szczęścia zarysował się, że nie tylko fizyczna lecz i duchowa istota Ferdynanda oddala się od niej coraz bardziej. Ból graniczący z rozpaczą szalał w jej sercu. Nieraz godziny całe spędzała na modlitwie w pięknych kościołach Wiednia, kryjąc się z ulgą w ich ciszy, przed zgiełkliwością wielkiego miasta. Szczególniej upodobała sobie franciszkańską świątynię Minorytów, ukojenie znajdując przed sławną „Wieczerzą Pańską“ *), której przygasły koloryt harmonizował z jej omdlałym stanem ducha. Wpatrywała się w tę misterną mozaikę, rozumiejąc Boga-Człowieka, cierpiącego nad przeczuwaną zdradą Judasza.



Zastępca kanclerza Hitlera, min. Hess przyjął ostatnio b. żołnierzy, którzy walczyli na froncie afrykańskim



Anny Ondra w swym najnowszym filmie p.t. „Igraszki na śniegu“.

Wówczas błagała moce niebieskie, aby jej zdrajca nawrócił się w porę i uniknął pętlicy, którą czasem los ukręca, na pokaranie za występki.

W parę lat po ślubie, po odbyciu wielkiej podróży do Brazylii, zamieszkał arcyksiążę w swym zamku pod Triestem.

Myślała Karolina, że wówczas może jej los się odmieni. Z radością opuściła Wiedeń, lecz Ferdynand, śmiały marynarz, wykołysany na wodach Atlantyku i wielu innych mórz, człowiek pełen ambicji, umiłowania władzy i wolności osobistej, nie uczuwał potrzeby cichego szczęścia, w ramionach słodkiej, zakochanej żony. Traktował ją jak cacko misternej roboty, które czasem przyjdzie ochota wziąć do ręki, a potem odłożyć na długi, długi okres, bez tęsknoty i niepokoju o jego stratę.

Wrażliwość na wdzięki kobiet przyszła za Ferdynandem i do Miramaru.**)

Z jednakim żalem biło serce Karoliny nad Adriatykiem, jak nad Dunajem, a pobliski Triest nie był mniej groźnym od Wiednia.

Długie godziny schodziły jej na studiowaniu powodów zobojętnienia, których wreszcie szukała sama w sobie.

— Prawda! Jestem pospolita, powszednia kobieta umiejąca kochać bez miary. Ani nie jestem Marią Stuart, ani Karoliną Corday, ani polską Jadwigą, żebym czymś mężowi zaimponować zdołała, żebym porwać mogła własną indywidualnością, czy bohaterstwem. Mnie jest dana cicha namiętność mieszkanki haremu, co czeka rozleniwiona wśród jedwabnych poduszek, na łaskę zjawienia się władcy. Te zalotne damy dworu, te estradowe kurtyzany umieją pobudzić krew i zająć sobą, choć na krótko.

„Mężczyzna powinien żenić się z kameleonem“ — śmiała się raz margrabina Hilda — „bo ciągła zmienność barw tego gadu, utrzymałaby może wierność małżeńską!“

Męka zazdrości, miłosna tęsknota i żal nad swym opuszczeniem, pobudziły Karolinę do obmyślenia sposobów ratunku.

Była to już wiosną 1863 roku.

W Meksyku walczyły wojska francuskie, prowadząc wojnę zaborczą. Przebąkiwano, że Napoleon III-ci, po osiągnięciu zwycięstwa, zaproponuje koronę meksykańską Ferdynandowi.

Wyrwanie arcyksięcia spod czaru uroczych wiedenek, zdało się Karolinie ostatnią deską zbawienia. Odtąd z niepokojem śledziła przebieg działań wojennych w Meksyku, postanowiwszy, w razie jakichkolwiek wahań ze strony Ferdynanda, skłonić go do przyjęcia korony.

Kreolki i mulatki nie budziły w niej obaw. Zresztą uporządkowanie kraju, w którym wrzenie wewnętrzne od kilku lat trwające, wytworzyło anarchię pojęć i stosunków, pochłonęłoby zupełnie wrażliwego jej małżonka. Herb Meksyku, przedstawiający kaktus na skale w morzu, a nad nim orła zabijającego węża, zastanawiał ją swą symboliką.

— Ferdynand będzie tym orłem, który zwycięży gada niezdrowych namiętności! — myślała podniecona.

Tymczasem Francuzi zdobyli Pueblo, o przestrzeni kilkudziesięciu tysięcy kilometrów, a zająwszy jej stolicę, la Pueblo da los Angelos, zatknęli zwycięskie sztandary.

Arystokratyczne stronnictwo notablów położyło kres próbom demokratycznego ustroju, ogłosiwszy na zgromadzeniu zwołanym przez głównodowodzącego armii francuskiej Cesarstwo Meksykańskie.

Wkrótce potem, za podnietą Napoleona III-go, arcyksiążę Ferdynand otrzymał zaproszenie do przyjęcia korony.

Dla Karoliny wybiła godzina działania. Dowiedziawszy się, że mąż nie jest zbyt skłonny do objęcia rządów nad wulkanicznym Meksykiem — zjawiła się w jego oficjalnym apartamencie, prosząc o chwilę rozmowy.

Przed tym parę godzin spędziła w gotowalni i była tak piękna z diademem w kruczych włosach, perłach na śnieżnej szyi i w głęboko wyciętej czarnej sukni, że Ferdynand przyjął ją olśniony.

— Przyszłam powinszować waszej cesarskiej mości korony meksykańskiej! — rzekła dyplomatycznie.



Na święto Kupały.

Ferdynand trochę się stropił.

— Powinszowanie waszej książęcej mości jest co najmniej przedwczesne, ale niemniej miłe! — odpowiedział całując jej rękę.

— Nie rozumiem. Jakto? miałbyś odrzucić tytuł i władzę cesarza, ty, najmędrszy z ludzi Austrii, następca tronu, którego możesz się nie doczekać? Na twoich skroniach musi jaśnieć korona, a w dłoni berło cesarskie! Wszak życzymy długiego życia i szczęśliwego panowania twemu dostojnemu bratu, jego cesarskiej mości Franciszkowi Józefowi? Cóż zatem pozostaje tobie? Generał-gubernatorstwo w królestwie Lombardzko - Weneckim? Ha! ha! ha! Dziwię cię, że krew panujących, pulsująca w twoich żyłach, nie przemówi do ciebie językiem władców!

Arcyksiążę otworzył oczy szeroko.

— Nie znałem z tej strony mej dostojnej małżonki! — rzekł z zainteresowaniem. — Więc wasza książęca mość popiera notablów meksykańskich i cesarza Napoleona? dodał pół żartem.

Karolina pochwyciła jego uśmiech w namiętnym rozmarzeniu i uśmiechnęła się także.

— Tak! Uważam, że taki demokrata jak Juarez może obejść się bez prezydentury meksykańskiej, do której zdąża przebojem, zapomniawszy o swej przeszłości indyjskiego pastucha. Jeżeli takiemu człowiekowi pachnie władza, to czemuż potomek cesarskiej rodziny cofa przed nią rękę?

Zaróżowiona od podniecenia, zyskała jeszcze na wdzięku i urodzie.

— Jeżeli wasza książęca mość pozwoli, odwiedzę ją tego wieczoru dla pogłębienia tematu! — rzekł znacząco Ferdynand.

Karolina stłumiła wrażenie.

— Będę oczekiwała cesarza Meksyku w mych prywatnych apartamentach o godzinie ósmej wieczorem!

Po pewnym czasie, pobudzona ambicja arcyksięcia spowodowała decyzję, mocą której zrzekł się wszelkich praw do tronu austriackiego i przyjął koronę Meksyku, jako cesarza Maksymilian 1-szy.

Karolina promieniała. Z radością udała się w długą, niebezpieczną podróż, będąc jedyną kobietą tej samej rasy, pośród otoczenia jego ces skiej mości. Damy dworu postanowiły w rać spośród kreolek, zrywając całkowic z wiedenkami.

Narazie cie yło się wszystko: zmiana klimatu, zwierzostan, urodzaje... Ferdynand, po chwilowym zatrzymaniu w Veracruz, rezydował w Puebli. Karolina, zabrawszy ze sobą ukochaną duszę, nie czuła się tam obco. Biskupstwo, piękna katedra i wiele kościołów, nadawały miastu katolicyzmu, który swojską nutą przemawia na każdym miejscu do swych wyznawców.

Lecz wkrótce zauważyła, że ustrój monarchistyczny Meksyku spoczywa na wulkanie, a małżonek jej oddany jest na pastwę nieudanych wysiłków, w kierunku utrwalenia władzy i porządku.

Zacięta walka imperialistów, wspieranych przez Austrię, Francję i Belgię, przeciw republikanom pod wodzą Juareza, wytwarzała sytuację nie do zniesienia. Cesarz Maksymilian próżno rozwijał energiczną i pożyteczną dla kraju działalność. Zwalczany przez Juareza nie mógł sobie zjednać ani partii opozycyjnej ,ani narodu. Po niespełna trzech latach panowania, sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy Napoleon, pod naciskiem gabinetu waszyngtońskiego, wycofał swą armię z Meksyku. Wówczas władza cesarska zeszła do minimum, lecz ambitny Maksymilian Ferdynand wolał paść, niż dobrowolnie ustąpić.

Dla Karoliny rozpoczął się okres trwogi i niepokoju. Drżąc o ukochanego męża, nie chciała jednak słyszeć o jego abdykacji i w chwilach wahań podniecała jego ambicję, bojąc się zniszczyć nawiązaną miłość małżeńską, powrotem do Wiednia. Wreszcie, gdy wroga postawa narodu i wzmocnione siły Juareza poczęły grozić cesarzowi uwięzieniem, przerażona Karolina pojechała do Europy, kołatać o poparcie.

Próżno jednak atakowała Tuilleries i Watykan. Zarówno Napoleon III-ci ,jak i papież Pius IX nie chcieli interweniować, zależni od polityki europejskiej i waszyngtońskiej.

Tymczasem w Meksyku wypadki toczyły się z fatalną szybkością. Walka w stanie Queretaro groziła cesarzowi zupełną porażką, ale nie chcąc poddać się, musiał walczyć do ostatka, mając jedynie dwa legiony cudzoziemskie (austriacki i belgijski) w swoim rozporządzeniu.

Meksykanie pod dowództwem Juareza, kilkakrotnie przewyższali liczebnością szczupłą armię cesarską. Maksymilian rozumiał beznadziejność swego położenia, łudził się jednak pomocą Europy, na skutek zabiegów Karoliny. Lecz gdy zgasła i ta ostatnia iskra złudzeń, załamał się bohaterski wysiłek garstki żołnierzy i w dniu 15 maja 1867 roku, cesarz Meksyku dostał się do niewoli.

Gdy wiadomość o tym doszła do Europy, Karolina podwoiła rozpaczliwe wysiłki, lecz nadaremnie. Głos jej był kwileniem dziecka, w bezdennej otchłani dyplomatycznego chłodu. Modliła się, płakała, kajała przed Bogiem, za zazdrość, pod której władaniem skazała męża na cierpienia i klęskę, ale niczym już nie zdołała odwrócić groźnego końca.

Długich czterdzieści cztery dni rozmyślał pokonany cesarz Meksyku, nad losem jaki go czekał... Trzydzieści kilka dni więzienia w Queretaro... Każde stąpnięcie pod drzwiami celi, każdy żywszy odgłos ze świata wolności, rozdmuchiwały w jego sercu blady płomyk nadziei. Wreszcie w dniu 19 czerwca 1867 roku otworzyły się drzwi więzienia, lecz za ich progiem czekała nieubłagana śmierć. Rota żołnierzy powiodła cesarza na miejsce kaźni, a w chwilę potem młody i piękny monarcha, bożyszcze Karoliny, chluba Austrii — padł martwy na rozkaz Juareza.

Straszna ta wiadomość — jak zygzak piorunowy ciemny strop nieba — rozdarła posępny umysł wyczekującej zmiłowania Karoliny.

Modliła się właśnie przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, gdy wpadła do pokoju zdyszana Luiza i chwytając powietrze wyjąkała głucho:

— Nasz najjaśniejszy pan nie żyje!...

Karolina wstała z klęczek. Zdawało jej się, że każdą głoskę usłyszanego zdania, szatański młot wykuwa w jej mózgu. Przed oczami ujrzała z całą jaskrawością krwawy obraz śmierci Ferdynanda i wpatrzona weń zaczęła iść, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Z tego stanu odrętwienia wyrwało ją dotknięcie Luizy.

— Niech Wasza Cesarska Mość ofiaruje Bogu to nieszczęście! — rzekła silnym głosem.

Karolina drgnęła.

— Bogu? Nie! Bóg odwrócił się ode mnie i pozwolił szatanowi dokonać strasznego dzieła! To kara za zazdrość, która popchnęła mnie do zbrodni narażenia mężowskiego życia! Nie umiałam kochać z poświęceniem. Te Fridy, te Hildy, te wszystkie lekkomyślne kobiety Wiednia i Triestu, zniewoliły mnie do występnej samoobrony, przed pogrzebaniem małżeńskiego



W związku z mającą nastąpić wizytą angielskiej pary królewskiej w Paryżu przybył do Londynu oddział spahisów francuskich w charakterze kompanii honorowej

szczęście. Skazałam go na śmierć! Boże! Nie śmiem wzywać Twojego Imienia!

A słysząc głośny szloch Luizy, nagle zmieniła ton:

— Odejdź moja droga! Zostaw mnie samą!

Gdy Luiza trwożnie patrząc na cesarzową, opuściła pokój, Karolina ścisnęła głowę obu rękami.

— Fredzie mój najdroższy! — zaczęła czule, patrząc w dal. — Kochałam cię bez pamięci i kochać będę do końca mego życia... Przebacz mi!

Nagle zakołowało coś przed jej oczami, mieniąc się w różne barwy. Czyjeś piękne, zręczne nogi wybijają takt szalony, a błyszcząca spódniczka biega za nimi jak wicher.

Karolina wzrok podnosi wyżej i dostrzega wyraźnie malowaną twarz, z dwoma rzędami białych zębów.

— Frida! Primabalerina Jego Cesarskiej Mości!...

— Precz ode mnie! — syknęła cesarzowa, przez zaciśnięte zęby.

— Ja tańczę na grobie cesarza Meksyku! — zaśmiała się tancerka. — Muszę tańczyć!

Karolina przetarła oczy i rozejrzała się trwożnie. Wizja znikła.

— Dobrze, że poszła. Usłuchała rozkazu! — szepnęła sama do siebie.

A tymczasem z kąta pokoju zaczęły sunąć strojne pary, śmiesznie dygające w zalotnym menuecie. Na samym przedzie margrabina Hilda z Ferdynandem.

— Mężczyzna powinien żenić się z kameleonem! — mówi mu, patrząc głęboko w oczy.

— Ferdynandzie! — szepnęła pokornie Karolina. — Znowu mnie zdradzasz?

Cesarz spojrzał szklanym wzrokiem na żonę. Z jego czoła i piersi zaczęła tryskać krew, a strojne damy dworu zamieniły się w meksykańskich żołdaków.

Przeraźliwy krzyk wydarł się z ust Karoliny.

Wpadła Luiza.

— Wasza cesarska mość! — zaczęła czule.

Karolina chwyciła ją za rękę.

— Była tu Frida! — szepnęła trwożliwie. — Tańczyła na grobie najjaśniejszego pana! Widziałam jego śmierć. Polało się tyle krwi...

Luiza ścisnęła zęby, żeby nie krzyknąć. Cesarzowa przetarła czoło.

— Ja powiedziałam coś niedorzecznego... Ale tak mnie serce boli...

Łzy pociekły z jej oczu.

— Luizo! On miał dopiero trzydzieści pięć lat! Mógł drugie tyle żyć!

Chwiejnym krokiem podeszła do fotela i ciężko nań upadła.

— Jakoś mi tak dziwnie... Wiem, że jestem wdowa, a zdaje mi się, że Jego Cesarska Mość zaraz tu wejdzie. Czy ja nie dostaję obłędu... Jak myślisz, Luizo?

Garderobiana rzuciła się na klęczki.

— Niech Wasza Cesarska Mość pomodli się. Bóg sił doda! Nieszczęście jest wielkie, ale lata wasze takie młode...

Karolina uśmiechnęła się.

— Jak dobrze żeś przyszedł, Ferdynandzie! — zaczęła, patrząc na drzwi. — Już mnie więcej nie zdradzisz, prawda? Widzę to z twoich oczu. Chodź, chodź tu bliżej... Wyjdź, Luizo! Czy nie domyślasz się, że pragnę być samą z najjaśniejszym panem?

Luiza jak oszalała wypadła z pokoju, wzywając ratunku. W pół godziny potem zjawili się lekarze.

Cesarzowa siedziała w fotelu uśmiechnięta, prowadząc z kimś niewidzialnym ożywioną rozmowę. Wejście obcych ludzi zastanowiło ją.

— Czy to ktoś z twojej świty, Ferdynandzie? — zapytała.

Posługując się pośrednictwem Luizy, lekarze jak najostrożniej zastosowali środki uspokajające, obserwując cesarzową na stronie. Stan jej umysłu wydał im się beznadziejny.

— Wstrząs był zbyt silny! — zaopiniowali.

Gdy cicha bezprzytomność Karoliny przedłużała się, rodzina umieściła ją w Bonchart, w pięknym pałacu, otoczonym olbrzymim parkiem.

Troskliwa opieka pozostawiała jej całkowitą swobodę. Dnie, tygodnie i lata całe błąkała się wdowa po długich korytarzach pałacu, prowadząc ze sobą melancholijne rozmowy, lub wychodziła do parku, na bezcelową wędrówkę. Czasem, wpatrzona w dal, zatrzymywała się trwożnie i z przeraźliwym krzykiem zakrywała oczy, jakby przed straszną wizją przeszłości. Co pewien okres odzyskiwała przytomność, przeważnie w rocznicę śmierci męża. Wówczas zbolała i smutna spoglądała w lustro, a widząc siwiejące pasma włosów i zmarszczki na twarzy, mówiła z głębokim westchnieniem:

— Już bardzo długo cierpię bez Ferdynanda, ale to jeszcze nie koniec. Pokuta musi być długa i ciężka, bo ciężką była moja wina.

I dawała na mszę i modliła się żarliwie, a potem zapadała znów w stan cichego obłędu.

Tak przeszło — nieskończonych jak wieczność — lat sześćdziesiąt. Jako zgrzybiała staruszka odzyskała po raz ostatni przytomność, pojednała się z Bogiem i ciesząc się spotkaniem z Ferdynandem, odeszła na wieki, w dniu 19 stycznia 1927 roku.

Skończyły się cierpienia kochającej istoty, męczennicy miłości, bezwolnego narzędzia złej mocy, której na imię Zazdrość!

Odeszła cicha cesarzowa Meksyku, a cień jej błąka się dotąd po korytarzach pałacu, dając świadectwo, jak wielkim może być uczucie w tym małym domku, jakim jest serce człowieka!

●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●●

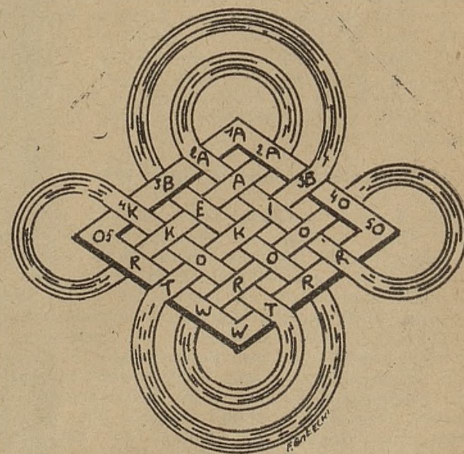
CHWILA ZASTANOWIENIA

Magirekonstrukcja

ul. F. Gałecki (Czł. War. Kl. Szar.)

Proszę poprzestawiać litery tak, by otrzymać wyrazy ukośnie: w lewo i w prawo jednobrzmiąco czytane, o następujących znaczeniach:

1) Zwierzę domowe. 2) Sztuczny człowiek. 3) Pomieszczenie dla zwierząt. 4) Torba. 5) Natarcia, napady.



Wyrazy czytane tam i wspak

1) Zwierzę — skrót formacji wojskowej
2) Pierwiastek chem. — prezent
3) Przylądek — używa szewc
4) Ślad — schronisko statków
5) Napój — następstwo winy, wzgl. wyrok sądu.

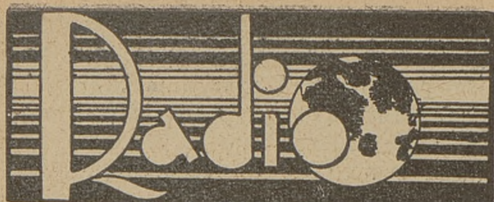
Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 8 lipca br.

Rozwiązania zadań z numeru 25 „Moich Powieści": Rebus: Czytajcie „Moje Powieści" Bilety wizytowe: 1) Śpiewaczka 2) Deklamatorka 3) Suflerka.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Rozwadowski Jan — Katowice, Bultrowicz Wacław — — Gniezno, Kukulska E. — Bolesławice, Miłosz Zygmunt — Gniew, Lenart F. — Rakowice.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Rozwadowskiemu z Katowic i Miłoszowi z Gniewu.



Niedziela, dnia 3 lipca 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Transmisja nabożeństwa ze Swarzewa 10.30 Muzyka z płyt 12.03 „Serenady" — poranek muzyczny z Łodzi 13.00 Miłość i przyjaźń w życiu Szekspira" — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa — transmisja z parku Kościuszki w Katowicach 15.00 Audycja dla wsi 16.20 Komedie Aleksandra Fredry — wieczór IX — „Mąż i żona" 17.20 Recital fortepianowy Józefa Turczyńskiego 18.00 „Podróż po Warszawie" — wodewil 19.30 Tygodnik dźwiękowy 20.05 Fragmenty mało znanych oper 21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa 22.10 „W letni wieczór" — audycja muzyczna.

Poniedziałek, dnia 4 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Moje wakacje" — powieść Starego Doktora dla dzieci 15.30 Muzyka lekka 16.00 Kompozytorzy północy — koncert 16.45 „Galapagos" — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert muzyki amerykańskiej (w dzień święta narod. Stanów Zjednocz.) 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Stare fraszki i nowe melodie — audycja muzyczno-słowna 21.00 audycja dla wsi 21.10 Lekkie melodie i piosenki 22.00 Pięć wieków dawnej muzyki — muzyka religijna XVI w.

Wtorek, dnia 5 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Zrobił Maciek kozła ogrodnikiem — bajka dla dzieci 16.00 Koncert Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej 16.45 „Przygoda w Pieninach" — opowiadanie 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Gniazdo os pod kępą rozchodnika — pogadanka 18.10 Marsze na 2 fortepiany 18.45 Lato leśnych ludzi — fragment z powieści 19.00 Recital śpiewaczy Heleny Lipowskiej 19.30 Na balu sprzed ćwierć wieku — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert chórów regionalnych nagrodzonych na konkursie Polskiego Radia 22.00 Koncert Orkiestry „British Broadcasting Corporation" (płyty).

Środa, dnia 6 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.00 Mała rewia muzyczna 16.45 „Praca nauczyciela polskiego dla wojska" — odczyt 17.00 Muzyka taneczna 18.00 „W staropolskim wirydażu" — felieton 18.10 Recital klarnetowy Ludwika Kurkiewicza 18.45 Lato leśnych ludzi — fragmenty z powieści 19.00 Lekkie piosenki w wyk. Wandy Wermińskiej 19.30 „W góry, w góry miły bracie" — koncert 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Chopin a polska ziemia" — Armaty wśród kwiatów" — 22.00 Koncert popularny.

Czwartek, dnia 7 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Moje wakacje — powieść Starego Doktora dla dzieci 15.30 Muzyka lekka 16.00 Koncert w wyk. orkiestry rozrywkowej 16.45 Kultura na wycieczkach zbiorowych — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Recital śpiewaczy Michała Zabejdy-Sumickiego 18.30 Powodzenie — premiera słuchowiska 19.00 Laureat Państwowego Konserwatorium Warszawskiego Leon Miklaszewski wykona Sonatę Beethovena Es-Dur 19.30 Echa przeszłości — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Tanecznym krokiem od Tokaju do Balatonu — audycja muzyczno-słowna 22.00 Robert Volkmann: Trio b-moll op. 5 22.30 Toti dal Monte i Tito Schipa solo i w duecie (koncert z płyt).

Piątek, dnia 8 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Marzenia a rzeczywistość — opowiadanie dla dzieci 16.00 Koncert orkiestry wojskowej z Wilna 16.45 Polska widziana oczami pisarza: „Śląsk" — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Życie chwalebne samolotu — pogadanka 18.10 Koncert solistów — muzyka na dwoje skrzypiec i fortepian 19.00 Pieśni w wyk. Franciszki Platówny 19.30 „Ameryka na wesoło" — koncert 21.00 Audycja dla wsi 21.10 „Trubadury przedmieścia" — lekka audycja muzyczna 22.00 Muzyka operowa.

Sobota, dnia 9 lipca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Słuchowisko dla dzieci „Pejsidoros — zawodnik olimpijski" 16.00 Wśród melodii rumuńskich" — reportaż muzyczny 16.45 Na przednówku — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Ciekawe nagrania płytowe 18.45 „Śląsk w gawędzie księdza Bończyka" — kwadrans poetycki 19.00 Utwory Ignacego Paderewskiego w wyk. A. Brachockiego 19.30 Humor w pieśniach Stanisława Moniuszki — koncert 20.00 Audycja dla Polaków za granicą 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Polska kapela ludowa F. Dzierżanowskiego 22.00 Godzina niespodzianek.



ŁAGODNE PRZYGOTOWANIE

— Pawełku, będziemy mieli tego roku ostrą zimę.
— Co mówisz, Elżuniu, Skąd wiesz: Czytałaś w gazecie, czy słyszałaś w radio?
— Nie, ale skradziono nam węgiel.

ZGODA

Gwiazda filmowa rozchorowała się. Reżyser dzwoni do niej.
— Musi pani jednak przyjść. W przeciwnym razie straty nasze byłyby niepowetowane.
— Dobrze, przyjdę — woła aktorka w zdenerwowaniu, ale w czasie nakręcania filmu umrę wam.
— Doskonale, każę zmienić scenariusz.

W SOWIETACH

Na dworcu w Moskwie stoi kilku kolejarzy, śmiejąc się głośno.
— Z czego śmiejecie się, towarzysze — pyta ktoś.
— A no z tego cudzoziemca, który z taką powagą studiuje rozkład jazdy.

RODZINKA

Doliniarz Feluś leży na łożu śmierci. Odwiedza go jego przyjaciel.
— Jak ci tam leci, Feluś?
— Kiepsko, bracie. Już chyba długo nie pociągnę.
— A gdzie twoja stara?
— Poszła buchnąć gdzieś suknię na mój pogrzeb.

KAPELUSZ Z ZALETĄ

Żona pyta męża:
— Jak ci się kochanie podoba mój nowy kapelusz?
— Bardzo!
— Co ty mówisz! A dlaczego?
— Bo ci zasłania całą twarz.

ODWAŻNA

— Gdybym panią pocałował, co by wtedy pani zrobiła?
— Nie myślę nigdy o niebezpieczeństwie, gdy go nie ma!
— A gdy jest, to co pani wtedy robi?
— To patrzę jemu prosto w oczy.

U LEKARZA

— Panie Rabinowicz! Czy nie mógł się pan wykąpać, zanim pan przyszedł do mnie?
— Ja myślałem, panie doktorze, że nie potrzeba, bo ja mam wewnętrzną chorobę.

MIĘDZY ŻYDKAMI

— Icusz, co byś ty wolał: być zabitym na froncie, czy być rozstrzelanym jako dezerter?
— Nu, ja bym wolił nie być wcale złapionym!

W SOWIETACH

Dwaj podróżni, jadący do Sowietów, rozmawiają w pociągu.
— Pan pierwszy raz jedzie do Moskwy?
— Po raz trzeci.
— W jakim hotelu radzi mi pan się zatrzymać?
— W „Nationalu".
— Czy mieszkał pan tam:
— Nie. Ale mieszkałem we wszystkich innych.

W SZKOLE

— Kto to był Ludwik XV-ty?
— Fabrykant mebli.
— Dlaczego tak sądzisz?
— Jakto, przecież my mamy jego meble w domu.

STRATA

— Psiakrew, złota papierośnica!... Szkoda.
— Czy pan miał dziurawą kieszeń?
— Nie, tylko ten, co ją zgubił usłyszał stuk, odwrócił się i podniósł.

W KRYNICY

— Ile pan liczy za przenocowanie w pańskim pensjonacie?
— Hm, to zależy od położenia...
— Najchętniej leżę na wznak, — ile pan za to liczy?...

SZKODLIWA KĄPIEL

— Patrz... Co ona tak zmizerniała!...
— To nic. Była w kąpieli.
— Widocznie kąpiel jej nie służy.
— Nie, owszem, służy. Tylko zmyła farbę z twarzy.



„Pełny gaz" na wirażu

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.